

odgłosy

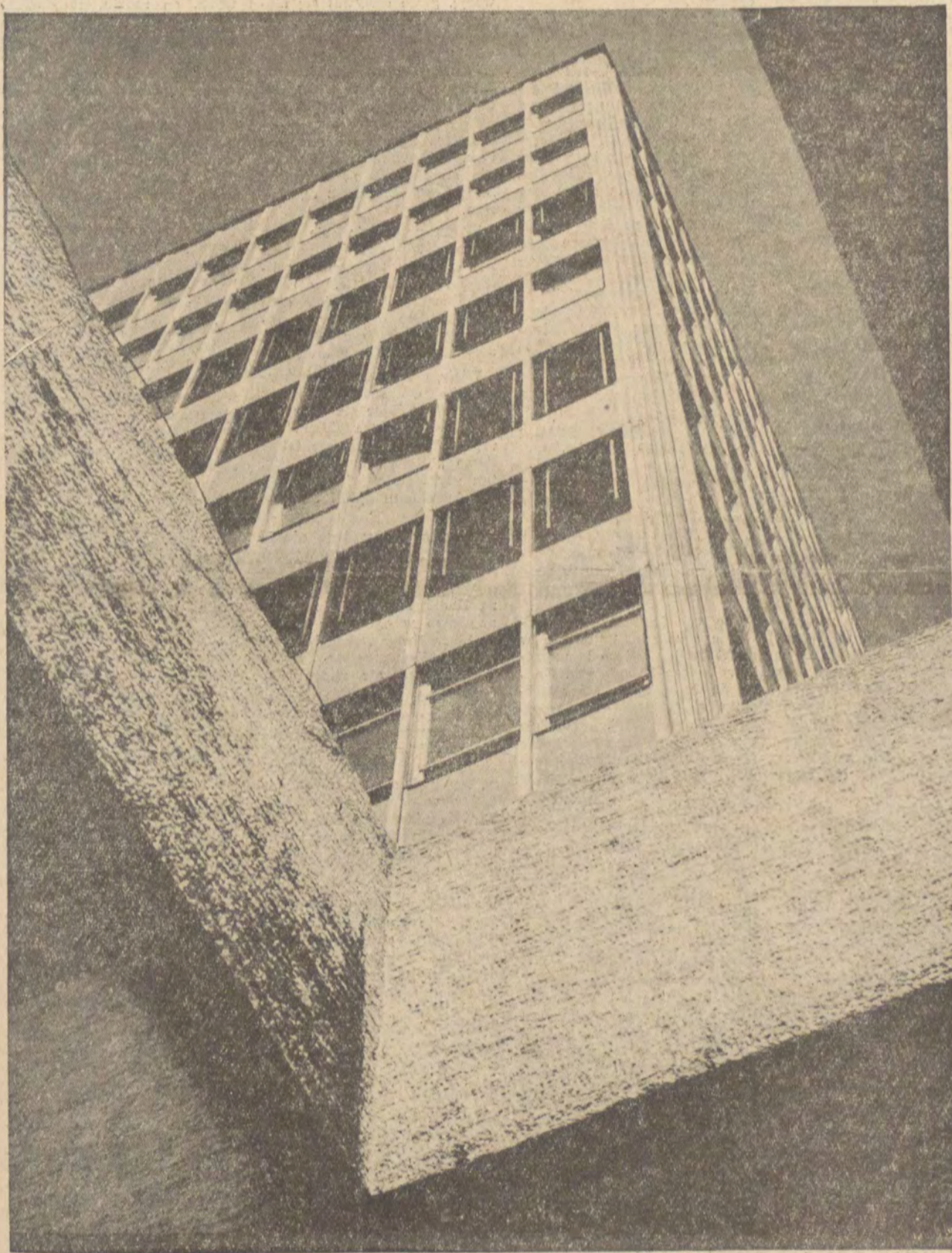


25 (709)

20. VI. 1971 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



ANDRZEJ MAKOWIECKI

Dwie niedziele przed sezonem

Na sopockiej promenadzie raz za razem wybuchają awantury. Dwóch walczy na pięści w ponurym milczeniu, trzeci stoi z boku i podjada. Podchodzi czwarty, daje w zęby trzeciemu i oglądam nowa bijatykę: teraz trzeci walczy z czwartym, pierwszy kucnął na ziemi z trudem łowiąc powietrze, a drugi zajął się podjadaniem, żeby przypadkiem za wcześnie nie ustali. A później tłukli się wszyscy razem, sapiąc i klnąc w niebogłosy, ludzie przyskaki na stronę robiąc im miejsce, mieli więc duże szanse pozabijać się nawzajem, ale nagle czwarty zdarł pierwszemu spodnie, zaświecił chude gnaty, i zacięła wojna ustąpiła placu serdecznej wesołości. Śmiali się zakapiorni wojownicy. Śmiali się kelnerzy wyczekujący na klientów u progu restauracji „Ermitage” i kelnerki ze „Złotego Uła”. Śmiały się sześćdziesięcioletni dziadek klozetowy na ławeczce przed swoim posterunkiem pracy i trzydziestoletni sprzedawca lodów „Carpigiani”. Śmiała się stara kokota — od czterech lat narzekająca na bezrobocie i nastoletnia prostytutka z Grandu — od pięciu lat zupełnie samodzielna.

Wszyscy się śmiali, patrząc na nieszczęśliwca podciągającego rozpaczliwym gestem rozerwane, welwetowe hajdawery i jeden chłopak powiedział, że mu to przypomina do złudzenia występ Czeška w Radomsku, a drugi na to się zaperzył:

- Czesiek tego nie zrobił!
- Ale w gazetach pisali...
- Ale to nieprawda!
- Skąd wiesz?
- Bo wiem, w radio mówił...
- Nie ma dymu bez ognia.
- Nieraz jest — upierał się drugi. — Znam Czeška i to do niego niepodobne.

Brudas, który w milczeniu przysłuchiwał się sprzeczce, zdecydował się nagle wzbogacić konwersację.

— Gówno! — wrzasnął. — Wcale go nie znasz! Najwyżej z widzenia...

— Z widzenia?! Na jednej ulicy z nim mieszkałem, chamie! I uderzył niedowiarka. I znowu zakotłowało się na promenadzie. A kiedy podjechały rzadkie w tamtych stronach radiowozy — znowu nastąpiła cisza i słychać było daleki szum morza, świergot wróbił na słonecznych dachach.

Usiadłem na ławce i poddałem się beztróskim rozmyśleniom. W kościele walił dzwon i koty rajcowały pod murami. Wzbięła się chłód wiosennego wieczoru. Z garmażerii wytoczyli się podpici Cyganie. Jeden z nich niósł na barana trzyletniego brzdąca o czarnych szelmowskich oczach, kędzierzawych włosach i zasmarowanej marmoladą buzi. Było to chyba najsympatyczniejsze dziecko, jakie widziałem w życiu. Zrobiłem do niego oko. Stary Cygan z miejsca do przyużył. Uśmiechnął się, podszedł, pochylił i malec zaczął mnie gaskać po głowie. Odeszli i nagle zauważyłem, że rąbnęli mi długopis.

— Hej! — krzyknąłem. Zerwałem się, żeby ich gonić, ale zatrzymała mnie utleniona Cyganka.

Dalszy ciąg na str. 3

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ
HENRYK POLAK

KTO PODEJMIE RYZYKO?

Zajrzyjmy najpierw do statystyki. Jakkolwiek by ją interpretować, wynika z niej jedno:

„Na każdy tysiąc mieszkańców zawieranych jest dziewięć małżeństw. Tylko sześć ma jednak teoretyczną szansę na otrzymanie

nie mieszkania. Teoretyczną, bo trzeba przecież pomyśleć również i o dachu nad głową dla ludzi z rozbiieranymi ruder, dla ludzi zamieszkujących jeszcze poddasza. Według rocznika statystycznego wydanej przez Radę Narodową Łodzi w okresie po-

wojennym zbudowaliśmy 280 tysięcy izb. Według danych Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego — na przydział nowego lokum oczekuje nadal 55 tysięcy rodzin”.

Przyczynkiem do dalszych rozważań była rozmowa przeprowadzona w osiedlu obok Kaliskiego Dworca. W domu u tego, co miał mieszkanie, i z tym, który szuka dachu nad głową. Osiedle nazywa się — nomen omen — Osiedle Młodych.

Na nowe mieszkania, na własny dach nad głową, czeka się obecnie już nie cztery, ale pięć, sześć lub siedem lat. To zbyt długi okres próby nawet dla najbardziej zakochanych. Z badań przeprowadzonych przez Instytut Gospodarki Mieszkaniowej wynika, że w większych ośrodkach miej-

skich przymusowa rozłąka młodych jest zjawiskiem znacznym i trwa długo. Dysproporcje między liczbą nowo zawartych małżeństw a nowymi mieszkaniami będą się zaostrzać, wchodzimy bowiem dopiero w pełnię małżeńskiego wymiaru. Problemy z tym faktem związane wymagają podwojenia rozmiarów budownictwa, a przecież istnieją także i inne potrzeby.

Nieprzypadkowo wspomnieliśmy o rozmowie na Karolewskiej. Kiedy rosły tam pierwsze bloki, czternaście lat temu, bywało tak, że piętro wyprzedzało dokumentację. Dziś sceptycy twierdzą, że z samej dokumentacji, jaka towarzyszy początkom

Dalszy ciąg na str. 4



Skrzypce skazane na śmierć

„EPOCA” — MEDIOLAN

Co roku, w jednej z sal siedziby władz municypalnych Genui, odbywa się tradycja utarty rytuał. W obecności notariusza i przedstawicieli władz miejskich, z największą ostrożnością wyjmują się ze szklanego futerału skrzypce Niccolò Paganiniego i oddaje w ręce wybitnego specjalisty — lutnika, który dokonuje skrupulatnych oględzin. Następnie wręcza się je kolejnemu zwycięzcy Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Paganiniego. Laureat dostępuje zaszczytu zagrania na nich na galowym koncercie, zamykającym konkurs.

Teraz dopiero zaczynają się perypetie. Po opanowaniu wzruszenia, muzyk próbuje wziąć pierwsze akordy. Ale skrzypce są nieposłuszne, a dożywane z nich dźwięki uderzają niezwykłym chłodem. Do wystąpienia pozostają liczone godziny. Muzyk pracuje uparcie i gorączkowo, by wreszcie wydobyć ze skrzypiec odpowiednie tony. Zmagania te trwają aż do momentu występu i odegrania dwóch utworów Paganiniego, będących w programie koncertu.

Skrzypce te, wykonane przez znakomitego mistrza, Giuseppe Guarneri, już od dawna są owiane legendą. Nie wszystkim jednak wiadomo, że ten znakomity instrument jest skazany na zagładę. Skrzypce Paganiniego — powiedział niedawno Salvatore Accardo, który grał na nich już niejednokrotnie — są rzadkim instrumentem, o nieskończonych

możliwościach tonu. Niestety, te wspaniałe skrzypce umierają, ponieważ nikt na nich nie gra.

— Dlaczego skrzypce Paganiniego — pytają wirtuozzi Lorenza Bellafonte — są tak skomplikowanym i nieposłusznym instrumentem?

Bellafonte, który dwa razy do roku przeprowadza profilaktyczne oględziny instrumentu, a ponadto jest znakomitym lutnikiem, odpowiada:

— Żeby skrzypce zagrały „naprawdę” trzeba je „rozgrzać”, trzeba w nie tenąć życie, grać na nich często, a nie trzymać pod szkiełkiem w ciemności.

Pogląd ten podziela wielu specjalistów. Sam Paganini bardzo cenil te skrzypce i nazywał je „armatą”, tak mocny miały timbre. Kiedy Paganini zachorował i przez długi czas nie brał instrumentu do ręki, skrzypce też „zachorowały”. Trzeba się było uciec do pomocy mistrza — lutnika, który włożył wiele pracy, aby je „ożywić”. W roku 1851, w jedenaście lat po śmierci wielkiego muzyka, skrzypce jego — zgodnie z wolą zmarłego — postanowiono przekazać na „wieczyste przechowanie” w magistracie Genui. Od tego czasu skrzypce Paganiniego „trwają w dostojnej bezczynności”, tracąc stopniowo swoje czarodziejskie właściwości. Należy z żalem skonstatować, iż władze miejskie Genui pojmują zbyt dosłownie ostatnią wolę wielkiego muzyka.

Kolejny sukces ZSRR

„SPIEGEL” — HAMBURG

Doniesienie TASS o pomyślnym wypróbowaniu w Związku Radzieckim pierwszego w świecie atomowego urządzenia termoelektrycznego stało się prawdziwą sensacją w kołach naukowych krajów zachodnich. Uruchomienie takiego urządzenia o mocy kilkuset kilowatów jest niewątpliwym sukcesem Rosjan.

Zachodniemiecki specjalista w zakresie techniki atomowej, dr Rudolf Prouschek, określił tę informację TASS, jako „wprost oszałamiającą”. Z kolei amerykański uczonec, George H. Chetaniolos powiedział, iż „obecnie Stany Zjednoczone będą musiały co najmniej trzy lata doganiać ZSRR w zakresie takich badań”.

Swego rodzaju szok wśród uczonych zachodnich, wywołany tym doniesieniem z Moskwy, charakteryzuje ogólny stan prac naukowych w tej sferze techniki atomowej.

Jak wiadomo, celem podobnych badań jest uzyskanie możliwości bezpośredniego przekształcania w energię elektryczną ciepła, powstającego w wyniku rozpadania się jąder atomowych. Eksperymenty

w tej dziedzinie przeprowadza się na Zachodzie w niewielkiej skali od początków lat sześćdziesiątych. Znaną są badania z amerykańskim sputnikiem nawigacyjnym „Transit 4A”. Jednakże moc urządzeń bezpośredniego przekształcania energii jądrowej, osiągnięta zarówno w USA i NRF, jak i we wszystkich innych krajach kapitalistycznych, jest więcej niż skromna. Na przykład moc generatora atomowego „SNAP-27”, pozostawionego na Księżycu przez załogę statku kosmicznego „Apollo-12”, wynosiła zaledwie 70 Watów.

Tymczasem załogowe stacje kosmiczne, jak się ogólnie przyjmuje, muszą dysponować mocą sięgającą 300 kilowatów. Najbardziej odpowiednim, autonomicznym źródłem energii dla tego celu, a także dla stacji podwodnych, czy też budowanych wysoko w górach urządzeń pomiarowych, byłby termoelektryczny reaktor jądrowy, którego gabaryty nie przekraczałyby rozmiarów torby sportowej.

Najdalej po tej drodze posunęli się Rosjanie. Aktualny adres tego ośrodka szpiegowskiego: Wiedeń XIV, Hadikgasse 52. Przy okazji warto wspomnieć, iż na Hadikgasse domu z takim numerem w ogóle nie ma, a do biura firmy wchodzi się od cichej Hirowetgasse. Ślady choć zatarte, ale widoczne.

L. Johnson, oficjalnie zapewnił wyspiarzy, iż warunki na wyspie „nadają się do życia” i że będą mogli powrócić do domów, „gdzie tylko zaczną owocować młode palmy”. Wygnani żyją nadzieją, że ów dzień obiecany nastąpi w roku 1972 lub 1973. Ale, jak wskazują badania biologów, nie nastąpi on nigdy.

Już od szeregu lat prowa-

dzą uczeni obserwacje atolu Bikini oraz inwazji jadowitych roztworników, które rozmnażają się w zastraszającym tempie i atakują archipelag, zagrażając istnieniu całych wysp. Niektóre z nich, jak Truka, Ponape, Pingelapa i Madżuro są już przez nie opanowane. Zagrożona jest także amerykańska baza wojskowa Guam.

„Tu mieszka pan H. Eigner”...

„VOLKSTIMME” — WIEN

W ostatnich tygodniach zachodnie ośrodki szpiegowskie zaktywizowały swoją działalność. Jej ostrze skierowano na socjalistyczną Czechosłowację, gdzie odbywał się niedawno XIV Zjazd KPCZ. Jeden z takich ośrodków wywiadowych znajduje się na terytorium neutralnej Austrii, ściślej mówiąc w Wiedniu. Ożywienie jego działalności należy tłumaczyć nie tyle położeniem geograficznym, ile tym, iż władze austriackie nie starają się przeszkadzać „w pracy” zachodnim agenturam.

Firma przeniosła się niedawno... Z Webgasse, położonej w ludnym centrum stolicy, na przedmieście, w rejonie Penzing. Wprawdzie dom na Webgasse zdobi jeszcze tabliczka z napisem „Intora”, ale jest to tylko kamuflaż.

Wiele organizacji szpiegowskich działa spokojnie i bez lęku, zastanawiając się byle jakim oficjalnym szyldem. W tej dziedzinie znajduje się także firma „Intora”, trudniąca się, jak zapewniają jej właściciele, „badaniami opinii publicznej”.

Wstęp do nowych biur firmy jest oczywiście utrudniony. Przepustkę otrzymuje tylko ten, kto z gospodarzami „badającymi opinię publiczną”, potrafił się uprzednio dogadać w sprawie wizyty. Istnieje również i inna „ciekawostka”: dlaczego to instytucja do badania opinii publicznej nie życzy sobie, by jego adres był ogólnie znany? Nad wejściem do nowej siedziby „Intory” nie ma żadnych tabliczek. Tylko mały kawałek papieru, przyklejony nad drzwiami, informuje, że w tym domu „mieszka pan H. Eigner” — Helmut Eigner, menażer i boss „Intory”.

Czy to tylko przypadek, iż nawiązuje kwatery sztabu firmy znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie przedstawicielstwa czeskosłowackiego? Wiodące przypadek... Tak samo, jak to, że w gmachu zainstalowano aparaturę żywo przypominającą urządzenia wiedeńskiego oddziału amerykańskiej radiostacji „Wolna Europa”...

Głównym terenem penetracji „Intory”, tak przynajmniej precyzuje to szef Eigner, jest „badanie społeczeństwa”. Osoby, pragnące otrzymać pracę w „Intorze”, są poddawane gruntownej kontroli. Nim zostaną przyjęte i skierowane na łowy, muszą przejść „kurs przygotowawczy”. Do najważniejszych zadań „pracowników firmy” należy szukanie kontaktów z obywatelami krajów socjalistycznych. Specjalne, drukowane instrukcje zawierają szczegółowe objaśnienia, jak należy prowadzić z nimi rozmowy, jakie zadawać pytania.

„Intore” interesują wszystkie bez wyjątku osoby, przy-

bywające do Austrii z krajów socjalistycznych. Mogą to być ludzie przyjeżdżający na konferencje, do międzynarodowych ośrodków wypoczynkowych, do rodzin, znajomych, jak również przejeżdżające tranzytem. Pytania agentów „Intory” są przeróżne. Dotyczą miejsca zamieszkania, wieku, zawodu, przynależności partyjnej, celu podróży. Są one zobowiązani do informowania swych szefów o charakterze „kontaktów”: czy były to spotkania przypadkowe, rozmowy ze znajomymi, przyjaciółmi, znajomymi znajomych i tak dalej. Instrukcje, zawierające podstawowe pytania z tego zakresu są zajmują ponad 24 strony druku.

Agenci, którzy sondują przybyszów z CSRS, otrzymują tzw. spis pytań uzupełniających w języku czeskim i ich przekład na język angielski. Ow spis jest ujęty w formie broszury, zatytułowanej „Rozmówki czesko-angielskie”.

Szczególne uwagę zwraca się na tych Czechów i Słowaków, którzy przyjeżdżają do Austrii na krótko. Z nimi „należy zawierać najbardziej ścisłe kontakty, mając na względzie wykorzystanie tego kanału informacji w przyszłości”. Oznacza to, iż nawiązywanie rozmów nie ogranicza się do zbierania tajnych informacji, lecz przewiduje również werbowanie rozmówców do współpracy.

Wielką wagę przykłada się do wszystkich, co dotyczy nowych organów KPCZ, od najniższych aż po Komitet Centralny włącznie. Agenci „Intory” szczegółowo wyławiają „słabe miejsca” w życiorysach partyjnych i rządowych działaczy CSRS, nie brzydząc się nawet najbardziej szkodliwej informacją.

W tych wszystkich pytaniach wyczuwa się „ducha „Wolnej Europy”. Nie na darmo agenci tego ośrodka szpiegowskiego muszą nieustannie raportować, jak odnoszą się ich rozmówcy do audycji tej antykomunistycznej rozgłośni.

Przedstawmy sobie na moment taką sytuację: mieszkańcy Czechosłowacji napaśtują przyjeżdżających do ich kraju Austriaków, naklanając ich do udzielania szpiegowskich informacji. Jakże ogromny krzyk podniosłyby gazety i radio „wolnego świata”! Ale ponieważ odbywa się to nie w Czechosłowacji, lecz w Austrii, zachodnie gazety milczą jak zakłete... I wszystkim jest „w najlepszym porządku”! Mało tego — milczą także koła oficjalne. Ani jeden resort władz austriackich nie dostrzega szpiegowskiej działalności „Intory”. Naszym zdaniem, takie stanowisko nie ma nic wspólnego z polityką neutralności. Dlatego też dziś, podobnie jak dwa lata temu, zadajemy pytanie: kiedy wreszcie zostanie w Austrii podjęte kroki przeciwko działalności austriackich filii amerykańskiego wywiadu?

Obserwując uważnie bieg wydarzeń międzynarodowych — nie można dostrzec zbliżających się wakacji. Wydarzenia te toczą się warko, nie zważając na porę roku.

Przegląd aktualności rozpoczniemy od przemówienia Leonida Breżniewa, jakie wygłosił na spotkaniu z wyborcami baumańskiego okręgu wyborczego w Moskwie. Zastępuje ono na uwagę, ponieważ jest pewnego rodzaju raportem z dwumiesięcznego okresu, jaki minął od XXIV Zjazdu KPZR. W znacznej części przemówienie swe sekretarz generalny poświęcił problematyce wewnętrznej — programowi podniesienia dobrobytu narodu, ale nie tylko. Jest w nim również ocena sytuacji międzynarodowej oraz ponowienie radzieckich propozycji pokojowych.

Z faktów dwumiesięcznego okresu jako pierwszy Leonid Breżniew wymienił zawarcie układu o przyjaźni i współpracy ze Zjednoczoną Republiką Arabską. Jest on bowiem doskonałą ilustracją stosunków, łączących Kraj Rad z postępowymi państwami arabskimi. Wysoko odnotowana została również wizyta w ZSRR premiera rządu kanadyjskiego — Trudeau, której wynikiem było podpisanie protokołu w sprawie konsultacji. (Przypomnijmy, że podobne postanowienie obowiązuje na linii Moskwa — Paryż). Decyzje o wzajemnym konsultowaniu najważniejszych problemów międzynarodowych świadczą, iż istnieje możliwość współpracy politycznej państw o odmiennych ustrojach.

Spośród aktualnych problemów międzynarodowych Breżniew szczególnie wyakcentował walkę o położenie kresu wyścigowi zbrojeń. Przypomnił radzieckie propozycje, wysunięte na Zjeździe, podkreślając, że nie są to hasła propagandowe, lecz „hasła do działania, odzwierciedlające polityczne cele, które w naszych czasach stają się rzeczą coraz bardziej osiągalną”. Przed laty forsując wyścig zbrojeń imperializm stawiał sobie dwa równoległe zadania: umocnienie swej pozycji oraz osłabienie gospodarki Związku Radzieckiego. Żadne z nich nie zostało osiągnięte. Odwrotnie — olbrzymie wydatki na cele wojskowe wpędziły kraje kapitalu w chroniczną inflację, raz po raz wywołując kryzysy walutowe. Wymaga to protest mas, ujawniający się w umacnianiu się ruchu antywojennego. W tej sytuacji część kół rządzących przestaje uważać wyścig zbrojeń za dobrodziejstwo dla gospodarki kapitalistycznej. Ułatwia to obecnie walkę o ograniczenie i powstrzymanie zbrojeń otwierając realne szanse m. in. radziecko-amerykańskim rozmowom na temat zbrojeń strategicznych. Ich wynik będzie uzależniony przede wszystkim od tego, czy Waszyngton nie tylko w słowach lecz i w czynach uzna zasadę równego bezpieczeństwa.

Leonid Breżniew, nawiązując właśnie do tej zasady, powiedział, iż w USA podniesiono wrzawę z powodu obecności radzieckiej marynarki wojennej na Morzu Śródziemnym, Oceanie Indyjskim i innych wodach. Jednocześnie USA uważają za normalne i naturalne, że ich flota wciąż tam przebywa.

„Nigdy nie uważaliśmy i nie uważamy za idealną sytuację, w której marynarka wojenna wielkich mocarstw przez długi czas pływa bardzo daleko od swoich wybrzeży. Gotowi jesteśmy — powiedział sekretarz generalny KC KPZR — rozwiązywać ten problem, lecz rozwiązywać go na zasadzie równości”.

Na XXIV Zjeździe Związek Radziecki wysunął szereg propozycji: o zakazie wszelkich rodzajów broni masowego rażenia, ograniczeniu budżetów wojskowych, całkowitemu zamieszczeniu doświadczeń z bronią nuklearną, zwołaniu konferencji pięciu mocarstw nuklearnych... Obecnie oczekuje on odpowiedzi Zachodu.

W przemówieniu Breżniewa podniesiona została jeszcze jedna ważna sprawa — ograniczenia sił zbrojnych i zbrojeń w Europie. Propozycje złożone na ten temat spotkały się z zainteresowaniem większości krajów Zachodu. Świadczą o tym również przebieg libońskiej sesji NATO, czemu poświęciliśmy nieco miejsca przed tygodniem. Rada ministerialna NATO nie udzieliła jednak precyzyjnej odpowiedzi. Tymczasem Związek Radziecki gotów jest przedyskutować redukcję nie tylko obcych sił zbrojnych lecz także narodowych. Problem jest niezmiernie ważny i warto mu poświęcić należyty uwagę.

Spotkanie Breżniewa z wyborcami baumańskiej dzielnicy Moskwy było formą bezpośredniego dialogu z mocarstwami zachodnimi, posłużyło do udzielenia odpowiedzi na kilka zadawanych przez Zachód pytań. Nie przeto dziwnego, że znalazło się w centrum światowego zainteresowania.

W ostatnich dniach uwaga komentatorów skupiła się również na innym przemówieniu — prezydenta Sadata, które wygłosił do sił zbrojnych ZRA, stacjonujących w strefie Kanału Sueskiego. Wymieniła została w nim sugestia przerwania ognia na okres z góry określony, w którym Izrael musiałby przeprowadzić ewakuację swych wojsk z wszystkich okupowanych terytoriów. „Pozostała jedna szansa na sto na osiągnięcie porozumienia — powiedział Sadat ale i tę wykorzystamy”.

Komentując tę wypowiedź podkreśla się, że „prezydent Egiptu wykluczył jakiegokolwiek rozwiązanie konfliktu arabsko-izraelskiego, dopóki Izrael nie wycofa się całkowicie z zagarniętych ziem”. Zauważa się także ostry atak na Stany Zjednoczone z powodu poparcia jakiegoś udziału Izraelowi, co zdaniem obserwatorów zmierza do skłonięcia Waszyngtonu do bardziej zrównoważonej polityki na Bliskim Wschodzie. Odnotowuje się i tę część przemówienia szefa państwa egipskiego, w której wysuwa on stanowczy postulat przyznania narodowi palestyńskiemu prawa do samostanowienia i pełnej swobody skorzystania z niego.

W. SŁAWSKI

Dwie niedziele przed sezonem

Dalszy ciąg z strony 1

— Daj ty sobie powróżyć, kochanie. — Złapała mnie za kołszulę.

— Nie trzeba — powiedziałem.

— Powiem ci twoje nazwisko, twoje imię ci powiem...

— Przecież ja to znam — powiedziałem. — Daj dwa złote, to też ci powiem.

— Nie pożaluj piątki na te karty. Dowiesz się z kim twoja żona idzie w tango.

— Nie mam żony.

— A jeden blondyn jest tobie nieszczerzy.

— Nie jeden...

— Kochanie, daj na łoda dla tej dziewczynki — pokazała na malutką Cyganeczkę, i w tym momencie byłem bliski zalamania, ale zobaczyłem, że ta mała chwytając za spódnicę jakąś inną Cyganke, i poczułem się oszukany.

— Odejdź — powiedziałem.

— Umrzesz — powiedziała.

Powiedziałem:

— Ty też umrzesz.

Powiedziała:

— Ale ty pierwszy.

Splunęła.

Też splunąłem.

Było to z mojej strony czymś wysoce niewłaściwym, ale sprawiło mi głęboką satysfakcję. Miałem chęć pogadać z nią jeszcze, ale zwinęła spódnicę i odeszła z pogardą na twarzy.

— Daj zapalić — zaczęła mnie obwieść o wejściu zapoznanego artysty.

— Nie pracujesz? — zapytałem.

— Pracuję, ale jest akurat przed pierwszym.

— Ale pilaś — mówię, bo poczułem odór piwa.

— Pilaś — przyznał się szczerze. — Postaw piwo, to opowiem ci niezły numer.

Dalem mu dwójkę i powiedział:

— Rozumiesz, maż nawija żonie taki tekst: ja zarabiam trzy tysiące i ty trzy, to razem sześć. Pięćset złotych mamy co miesiąc za butelki. Więc jak to się dzieje, kochana, że ciągle jesteśmy bez pieniędzy? Dobrze, nie?

— No, jak to nie.

— Daj dwójkę, to opowiem ci inną sprawę.

Dalem mu dwójkę i mówił:

— Żona zdradzała jednego lekarza, tak? Jest bardzo ładna i on ją łapie w legowisku z jakimś ponurym drabem. Więc postanawia się zemścić i kiedy ona prosi go o lekarstwo czując się troszeczkę niezdrowa — podaje jej truciznę. On orientuje się po pierwszym łyku, wypluwa paskudztwo, on udaje, że się pomylił i żeby ją ratować, ale tak na niby, wstrzykuje jej w tyłek igłę, który jest jeszcze większym paskudztwem, mięso odchodzi od kości i kobieta zostaje potwornie oszpecona...

— Już to słyszałem

— To mam oddać dwójkę?

— Niekoniecznie.

— I tak bym nie oddał. O, tu się rączka zgina, a tu dziób pingwina. Mogę najwyżej opowiedzieć ci jeszcze jeden skecz.

— Mów.

— O pięciocarczku?

— Słyszałem.

— Więc o tym budylnym, który całkiem zgłupiał i zamiast sprzedawać kwiaty, zapisał się do artystów; ciągnie piwo, snuje się po całych dniach jak nieszczęście, malując na kartonach rozmaite knoty, a szklarnie zapadają się w ziemię porastając chwastami.

— Bujasz.

— Nie bujam. Mieszka tu zaraz przy „Irenie” i możemy do niego iść.

— Po co?

— Wypijemy z nim piwo.

— Wolę łądy.

— To chodźmy do Włocha. Wiesz, Glateria Italiana, Milano, Bergamo, kasjerka molto simpatico, blondyna, co dzień do południa obciąża litra, a później drzemie...

— Ładnie tu — mówię.

— Tak jest. Nie to co w Łodzi.

— Ale trochę nudno.

— Eee, nie jest nudno. Zobacz...

Ulicą przejechało w szalonym tempie dwóch przebiegaczy na welo-cypledzie, a zaraz potem grupa bananowców w otwartym willisie.

— Znam ich — powiedziałem.

— Tych pierwszych?

— Jednych i drugich.

— Studentów?

— Zgadza się.

— Z Sopotu?

— Nie, z Gdańska.

— To co tu robisz?

— Jak to co? Przecież zaczęły się Neptunalia. Jutro w związku z tym będzie wesoło...

Jutro, to była sobota. Oziębilo się nagle, kropił deszcz i studentki snuły się po mieście z byle jakim entuzjazmem. Widać było, że robią tę zabawę na siłę; gnuśni, osowiali, tęskniący pewnie w skrytości za ciepłem mieszkań, usławali śpiewać sprośne piosenki, stroić miny, tańczyć. Następnego dnia, w niedzielę, też było chłodno, ale wyjrzało słońce i na promenadzie zapanował nieopisany ścisk. Około południa kilka tysięcy studentów wzięło — jak to pisały gazety Wybrzeża — władze w swoje ręce. Znowu śpiewy, tańce, deklamacje — wyglupy pozabawione szczerości i wdzięku, wymuszone. No, ale wino i wódka robiły swoje i z czasem młyn rozkręcił się na dobre. Wychyli się do kawiarni i restauracji, na duś, po kilkuset, tak, że nie było centymetra wolnej powierzchni i postronnych ogarniała lekka panika; chwytając się za ręce tworzyli nieprzebrane długie korowody, łańcuchy, sieci, w które lowili na molo ogłupiałych, nielicznych o tej porze roku turystów; stawiali na głowach, chodzili na rękach, kucali w kurzu chodników, pociągając piwo i zbierając do czapek, jak żebracy, drobne grosiwo; po promenadzie, która wolna jest od ruchu kołowego, śmiali na rowerach i motocyklach, po sześć, siedem osób na jednym siedzeniu, aż zgroza brała patrzeć na te zataczające się pojazdy — winogrona, za którymi ciągnął się swąd benzyny i przykry odór strawnego alkoholu; na bocznych ulicach zatrzymywali samochody skandując bojowe okrzyki i widziałem, że kierowcy silą się na uśmiech, ale w gruncie rzeczy są ciężko przestraszeni tą huśtawką, rozbujanymi resorami, dachami trzeszczącymi od ciężaru rozbawionej gawiedzi; wyjąłem notes i zapisałem na wszelki wypadek godzinę: siedemnaście dwadzieścia, ulicę: Podjazd, punkt: pod mostem kolejowym, niestety, nie zdażyłem zauważyć numeru auta, którym jechał jakiś błąd, ponury, może trzydziestoletni mężczyzna w czarnym garniturze, w towarzystwie młodej damy; też ich zatrzymali, i byłem początkowo po stronie motoryzowanych, ale w pewnej chwili błąd gość nie wytrzymał, zacisnął chude szczęki, zwolnił hamulec i ruszył ostro w tłum, i to mogło zakończyć się tragicznie, jeden potrącony błotnikiem student runął w prawo na mury, drugi w lewo, prosto twarzą na jezdnię, trzeciego wyrzuciło w górę jak z procy i opadł płasko na maskę samochodu; jechał tak kilkanaście metrów ze strachem w przekrwionych od pijaństwa oczach, aż wreszcie stoczył się głucho na jezdnię... trup? Nie, wstał po chwili, otrząsnął się jak kot po kąpiel, dołączył do gawiedzi i znowu zatrzymywali samochody, które stawały posłusznie, dając się bujać, kołysać, huśtać...

Jedna ze studentek miała, gdzie trzeba, napis: „Tylko dla panów”, jeden student miał na plecach tabliczkę: „Stacja kopulacyjna tryka”. Nadzy albo odziani w wymyślne sukmany — prześcigali się w dowcipach, a ludzie udawali, że jest bardzo fajnie; że im się te Neptunalia bardzo podobają...

— Po co to wszystko? — zapytałem gościa o wyglądzie klasycznego filologa, który stał skromnie na uboczu i wyglądał dosyć grzesznie.

— A, tak — powiedział — dla hecy, ty mnie w ryło, ja cię w plecy.

— Czego chcesz? — podskoczył do mnie inny student z opaską na ramieniu.

— Niczego.

— To splayaj.

— Stać chyba wolno?

— Nie wolno. Ja jestem z policji studenckiej i mam tu zachować porządek.

Wydobyłem się z tłoku i ruszyłem w stronę domu, który był w Górnym Sopocie. Po drodze spotkałem jeszcze kilku innych policyjnych studentów czy też studenckich policjantów. Mieli krótkofalówkę i nadawali dramatyczne komunikaty: „Tu A1, tu A1, przy moło wielkie zbiegowisko, wyślijcie tam jaguara”, nariusza o twarzy lenia z pierwszego roku politechniki.

— I co ten jaguar zrobi? — odważyłem się zaczepić funkcjonariusza o twarzy lenia z pierwszego roku politechniki.

— Wjedź tam na motorze i przywoła bractwo do ładu.

— Ale przecież już sam pomysł Juwenaliów jest zaprzeczeniem wszelkiego ładu.

— Tak się panu zdaje?



Fot. A. Wach

— Oczywiście. Tak samo jak pomysł zorganizowania policji studenckiej jest zaprzeczeniem wszelkiej swobody. Wyżywacie się, co?

— No, mądrała, idź do domu.

— Właśnie idę.

— Ale idź tamtędy!

— Nie, pójdę tędy.

— A ja ci mówię, że nie pójdziesz!

— Dlaczego?

— Bo ja tak chcę. My dzisiaj rządymy w Trójmieście.

— Dobra — powiedziałem i poszedłem zgodnie z jego wolą. W Górnym Sopocie panował idealny spokój. Przy stadionie w końcu ulicy Wybickiego spotkałem Marka Ch., który studiował kiedyś w łódzkiej Szkole Filmowej. Zapytał, czy byłem na dole i widziałem ten młyn.

— Widziałem.

— No i co?

— W porządku.

— Bo oni nie są wcale tacy źli. Muszą się po prostu wyżumieć.

— Ale...

— Zadne ale. Przytomnij sobie własną młodość.

— Nie jestem jeszcze taki stary.

— Ale masz chorą duszę.

— Skąd wiesz?

— Bo nie potrafisz tańczyć i śpiewać, kiedy jesteś smutny.

— A ty potrafisz?

— Ja też nie. Ale skoro oni potrafią, to znaczy, że nie jest jeszcze tak źle. To znaczy, że nadchodzi wielkie zapomnienie...

— I wielki sezon...

— Aha. I czas wielkiej zabawy.

— I za dwa tygodnie podskoczysz w sklepach i lokalach tarafa...

— Tak. I przyjedzie jeszcze więcej pięknych samochodów.

— I będą Szwedzi.

— I Anglicy.

— I zaczną grać w Non-stopie.

— I zaczniemy się szykować do Festiwalu Piosenki. Przyjedziesz?

— Nie.

— Czemu?

— Sopot jest dobry raz w roku.

— Około Wielkiej Nocy?

— I około Bożego Narodzenia.

Siedliśmy na ławce zapalając papierosy. Tu, z dala od promenady, było cicho i dobrze. Z otwartych okien zawiewało muzyka. Chwilami miałem wrażenie, że to już jesień. A przecież rozłóczył się dokoła duszący zapach bżów i zieleń na drzewach była świeża.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

«POLONICA»

WIELKA WYSTAWA
DZIEŁ TIEPOŁA

Dwieście lat temu zmarł słynny malarz włoski Giam battista Tiepoło. Miasto włoskie Udine organizuje w dwóchsetną rocznicę śmierci wielką wystawę dzieł Tiepoła w dniach od 27 czerwca do 31 października roku bieżącego. Na wystawie zostanie pokazanych około stu obrazów, sto dwadzieścia rysunków, sto sztychów, a także znajdują się tu prace obydwu synów malarza. Dzieła na tę wystawę sprowadzone będą niemal z całego świata. Oprócz wielkich muzeów włoskich wypożyczają na wystawę dzieła Tiepoła m.in.: leningradzki Ermitaż, hamburska Kunsthalle, National Gallery w Londynie, nowojorskie Metropolitan

Museum, Rijksmuseum w Amsterdamie jak też niektóre kościoły i prywatni kolekcjonerzy.

AKCENTY POLSKIE
W PRASIE
AUSTRIACKIEJ

Prasa austriacka dość często publikuje informacje z Polski. Szczególnie często akcenty polskie spotkać można w „Wiener Zeitung”, a przede wszystkim w niedzielnym dodatku do tego pisma. Część literacką stanowią tu krótkie opowiadania, czerpane też z literatury rosyjskiej i radzieckiej (Czechow, Szolochow). Ostatnio na stronie tytułowej tego dodatku (nr 60 z 23 marca) wydrukowano opowiadanie Jerzego Szaniawskiego „Zajmująca kobieta” (Eine interessante Frau) z tomu opowiadań „Profesor Tutka”, w tłumaczeniu Karola Dedeclusa. „Bellage zur Wiener Zeitung” zamieszcza też omówienia polskiego życia kulturalnego, np. z festiwalu

filmowego w Krakowie, propaguje polskie znaczki itp.

TEATR PANTOMIMY
ZA GRANICĄ

W festiwalu wiedeńskim „Wiener Festwochen” brał udział Teatr Pantomimy z Wrocławia. Szwajcarski dziennik „Neue Zürcher Zeitung” (z 3 czerwca br.) poświęcił z tej okazji cały artykuł temu teatrowi. Recenzent, Dorothea Christ, w artykule pod polskim tytułem „Wrocławski Teatr Pantomimy” pisze, że obecnie w Europie jest trzech wybitnych twórców w tej dziedzinie: Marcel Marceau we Francji, Ladislav Fialka w Czechosłowacji i Henryk Tomaszewski w Polsce, z tym, że wszyscy oni różnią się między sobą. Zdaniem recenzenta, Tomaszewski, który jest i reżyserem i tancerzem, koncentruje cały swój wysiłek na wprowadzeniu do pantomimy dramatu, jego spektakle bazują przede

wszystkim na ruchu i dynamice akcji. Występy zespołu Tomaszewskiego ocenia recenzent bardzo wysoko, pisząc m. innymi: „Zespół polski wykazał, że zespole nie dramatyczne teatru z ruchem baletowym otwiera nowe, fascynujące możliwości wyrazu dla tego rodzaju sztuki”.

W NRF O BRANDYSIE
I KORCZAKU

W 2 numerze kwartalnika zachodniomiejskiego „Die Buecherkommentare” (coś w rodzaju naszych „Nowych Książek”) znajduje się recenzja z wydanej w NRF powieści Kazimierza Brandysa „Der Marktplatz” (Rynek) w przekładzie Klauusa Staemmlera. Autor recenzji, Manfred Grunert, stwierdza, że powieść K. Brandysa należy do tego rodzaju książek, które określa się jako „ciężkie”, co z jednej strony oznacza ich walory intelektualne, z drugiej — niewielkie

stosunkowo zainteresowanie czytelników. Kazimierz Brandys, który ma swoją gminę czytelniczą w Polsce, znajdzie odbiorców z pewnością i w NRF. W tym samym numerze przytacza się głosy prasy o „Królu Maciusiu” Janusza Korczaka, która została uznana za książkę miesiąca i ukazała się już w drugim wydaniu. Oprócz „Króla Maciusia” wydano w NRF dwie inne książki Janusza Korczaka, a mianowicie: „Das Recht des Kindes auf Achtung” (Prawo dziecka do szacunku) oraz „Wieman das Kind lieben soll” (Jak kochać dziecko).

POLSKA KULTURA
TEATRALNA

W „Neue Zuercher Zeitung” (z 2 kwietnia br.) ukazała się recenzja z wystawy, zorganizowanej w londyńskim Victoria and Albert Museum. Wystawa pn. „Contemporary Theatre Art in Poland” — pisze sprawozdawca szwaj-

carskiej gazety — dowodzi wielkiego bogactwa kulturalnego w tym kraju. Wystawę, obejmującą modele scenograficzne, obrazy, fotografie, plakaty i kostiumy, zaprojektowali Stanisław Zamecznik i Jan Gawlik. Przy oglądaniu tej wystawy — pisze dalej sprawozdawca „Neue Zuercher Zeitung” — staje się jasne, jak wiele wspólnego łączy teatr polski z kulturą zachodnią. W recenzji czytamy także, że obok własnych rodzimych pisarzy, na scenach polskich wystawia się wyjątkowo obficie sztuki autorów zagranicznych, takich jak Arden, Babel, Brecht, Beckett, Duerrrenmatt, Camus, Eliot, Ionesco, Joyce, Kafka, Miller, O'Casey, Osborne, Pinter i Sartre.

«POLONICA»

JEST muzykiem związanym z teatrem. Prowadząc orkiestrę precyzyjnie i uważnie, zdaje się być całkowicie nią pochłonięty. A przecież ani na chwilę nie zapomina o scenie, o tym, co się na niej dzieje, o solistach i zespołach. Dlatego zapewne przedstawienia, które prowadzi, są dynamiczne, wartkie, a wszystkie składowe elementy stanowią w nich harmonijnie zsynchronizowaną całość.

Dżansug Kachidze, mimo młodego wieku — ma dopiero 35 lat — ma już za sobą poważny dorobek muzyczny i sporo lat pracy w tbiliskiej operze. W latach 1965—68 był tam głównym dyrygentem, czyli — w naszej nomenklaturze, kierownikiem artystycznym. Łódzka publiczność poznała go przed dwoma laty, podczas gościnnych występów Teatru Opery i Baletu im. Z. Paliaszwili z Tbilisi w Teatrze Wielkim. Kierownictwo naszego teatru zwróciło wówczas na niego uwagę i zaproponowało mu trzyletnią współpracę z Łodzią. Nie przyjął wówczas propozycji ze względów rodzinnych. Kiedy w ubiegłym roku przyjechał do Łodzi ponownie z grupą solistów radzieckich, współpraca została nawiązana. I na zasadzie kontraktu, podpisanego na 16 miesięcy, Dżansug Kachidze przebywa już przeszło dwa

ARTYSTA POWINIEN POSZUKIWAĆ — MÓWI DŻANSUG KACHIDZE

miesiące w Teatrze Wielkim.

— Co właściwie skłoniło Pana do przyjęcia polskiej propozycji?

— Ciekawość. Jestem już stary, mam 35 lat, czas więc był na konfrontację własnych doświadczeń z cudzymi. Artysta musi poszukiwać, musi zapoznawać się z poszukiwaniami innych. Ciekaw byłam co się dzieje w dziedzinie muzyki u sąsiadów za miedzą. Liczę na to, że odkrycie artystycznych nowości u was pomoże mi we wzbogaceniu moich, a może znalezieniu nowej drogi.

— A jak będą wyglądały Pańskie obowiązki w Teatrze Wielkim?

— One już wyglądają, bo już zacząłem pracować. Dyrekcja zaproponowała mi prowadzenie oper zachodniej klasyki. W tej chwili w repertuarze Teatru Wielkiego jest to „Aida” Verdiego i „Faust” Gounoda. Poza tym mam przygotować nową pozycję — „Człowiek z La Manchy” Leighta, kompozytora angielskiego. W tej chwili już pracuję, razem z Henrykiem Czyżem, nad przygotowaniem muzycznym jego „Białowłosej” — najbliższej premiery Teatru Wielkiego. Trwają też rozmowy nad ewentualnym wystawieniem przez teatr łódzki opery gruzińskiej Zacharija Paliaszwili „Abiesalom

i Eteri”. Przygotowanie tej opery należałoby do ranniej.

— Jak na jeden sezon — wcale nie mało.

— Poza tym prowadzę rozmowy z Pagartem na temat ewentualnych występów gościnnych w innych miastach. To byłoby dla mnie bardzo interesujące, bo jak mówiłem, chcę zobaczyć i poznać jak najwięcej.

— Czy specjalizuje się Pan w jakimś określonym gatunku muzycznym?

— Nie specjalizuję się, bo nie wiem jeszcze jaką muzykę lubię najbardziej. Wiem tyle, że lubię każdą dobrą muzykę. Tak samo Mozarta jak Strawińskiego czy Schoenberga. A to nie pozwala mi na zamknięcie się w jednym gatunku, czy w jednej epoce.

— W każdym razie zainteresowania Pana skoncentrowały się w znacznym stopniu na muzyce operowej. Kilka lat temu toczyła się u nas zacięta dyskusja na temat teatru operowego. Spierano się o to, czy opera przeżyła się już jako forma sceniczna, i nie ma sensu dalsze jej ożywianie, czy też jest to teatr, który po dostosowaniu do potrzeb estetycznych współczesnego widza i słuchacza ma szansę długowiecznej egzystencji. Czy w Związku Radzieckim istniały też takie wątpliwości?

— Istniały wątpliwości i były dyskusje.

— No i?

— Nie dogadali się. Ale naród dalej chodził do opery i pewno dalej będzie chodził. Ale mówiąc poważnie, uważam, że współcześni kompozytorzy, tacy jak Debussy, Britten czy Berg udowodnili swoją twórczością, iż nowa forma opery istnieje. Sądzę, że i stara opera ma szansę egzystencji, tylko trzeba ją wystawiać po nowemu.

— Jak rozumie Pan wystawianie starej opery po nowemu?

— Współczesna reżyseria, scenografia i przede wszystkim interpretacja. Zarówno teatralna jak i muzyczna. To robi Felsenstein i robi genialnie. W takiej właśnie interpretacji leży przyszłość starej opery, opery w ogóle.

— Nowa interpretacja muzyki — to chyba trochę niebezpieczne dla kompozytora (niezależnego) i jego dzieła?

— Może być nawet z korzyścią dla muzyki, jeśli pracuje nad nią dobry muzyk. A jeśli zły... zły nie powinien zabierać się do tego w ogóle.

— Czy z tego co Pan powie-

dział wynika, że dawna opera w tradycyjnej postaci nie powinna istnieć wcale?

— Owszem, jako sztuka muzealna. Marzy mi się taki teatr — muzeum. A w nim na przykład — „Aida” jak ją wystawiano sto lat temu w La Scali. To, oczywiście, nie byłaby sztuka, lecz reprodukcja. Ale przecież w wielu znakomitych muzeach oglądamy z satysfakcją reprodukcje słynnych dzieł malarskich.

— Czy możliwe jest dziś wierne odtworzenie przedstawienia sprzed stu lat?

— Oczywiście. Zwłaszcza, że w końcu XIX wieku dość powszechny był zwyczaj przenoszenia dokładnej kopii przedstawienia stołecznego, lub nawet prapremiery zagranicznej do wielu innych teatrów operowych.

— To pomysł interesujący, ale zapewne bardzo kosztowny. Wróćmy jednak do teraźniejszości. Jest Pan w Łodzi już dwa miesiące, czy wyrobił sobie Pan opinię o naszym teatrze i jego artystach?

— Chciałbym sprostować, że jestem tu dopiero dwa miesiące i nie czuję się powołany do wydawania opinii. Uważam natomiast, że macie wielu znakomitych wokalistów, wiele pięknych głosów. Gorzej może jest z pedagogiką, ze szkołą wokalistyczną. Wydaje mi się na przykład, że szczególnie niektórzy mężczyźni, powinni zwrócić bacniejszą uwagę na prawidłową emisję głosu, od której zależy barwa dźwięku, zakres skali i właściwa eksploatacja głosu. A od tej z kolei okres czasu, w którym śpiewak może występować na scenie czy estradzie.

— Właśnie, jak długi jest ten okres u śpiewaków w Związku Radzieckim?

— Minimum 15 lat, przeważnie 20 do 25 lat, a często i dłużej. Mamy na przykład solistę, który występuje już 40 lat i jest obecnie w znakomitej formie wokalistycznej.

— Od czego, Pana zdaniem, zależy trwałość formy śpiewaka, długość okresu, w którym może występować?

— Przede wszystkim właśnie od szkoły, od prawidłowego ustawienia głosu. Osobiście uważam za najlepszą szkołę włoskiego bel canto. Z niej wywodzą się najznakomitsi śpiewacy świata jak np. Anelk Pears, Bułgarzy Glearow i Uzunow czy Szwed Bjoerling. No i nieustanna kontrola głosu przez dobrego pedagoga — ale to już chyba sprawa czysto artystyczna.

— I na zakończenie. Jak czuje się Pan w Polsce?

— Jestem tu już po raz szósty. Pierwszy raz byłem w 1959 roku z wokalnym zespołem gruzińskim, dwukrotnie na „Warszawskiej Jesieni” i dwa razy, które Pani wymieniła na początku.

— Czy znaczy to, że czuje się Pan jak u siebie w domu?

— Kiedy przyjeżdża żona z synem, a nastąpi to już wkrótce, odpowiem: tak.

— Dziękujemy za interesującą rozmowę i życzymy sukcesów w Polsce.

Rozmawiała:
TERESA WOJCIECHOWSKA



KTO PODEJMIE RYZYKO?

Dalszy ciąg ze strony 1

patronatu młodzieżowego nad budownictwem, można by wybudować niejedno piętro. Dziwne, bo i jednej i drugiej inicjatywie budowy mieszkań przez samych młodych, tylko przyklasnąć.

Łódzki Oddział Związku Spółdzielni Mieszkaniowych był pierwszym klakierem. Nie można mu się dziwić. Spółdzielcy chcą przecież rozszerzać swe posiadłości. Widzieli i widzą młodych przy pracach porządkowych, uzbrajaniu terenu, przy konserwacji istniejących i rozbiorce starych urządzeń i budynków. Są to, jak się określa, wąskie gardła budowlanej produkcji.

Przedstawiciele Zjednoczenia Budownictwa są bardziej powściągliwi w swoich sądach. Uważają, że patronat nad budowlami, o jakim marzy ZMS, ma rację bytu jedynie w stosunku do młodzieży już zatrudnionej w budownictwie. Natomiast odpowiedzialni

za szkolnictwo zawodowe, reprezentujący technika budowlane, nie widzą żadnych możliwości wykorzystania uczniów kończących naukę i starających się o mieszkanie. W prywatnej rozmowie przedstawiciele tych szkół widzą swoich abiturientów tylko na budowach tradycyjnych. Dziwne to, jako że stawiamy przecież na uprzedmiotwienie placów budowy. Czyżby więc powrócił do koźłów z cegłami?

W kulturalnych naradach, z której zaczerpnęliśmy cytaty, pozostali mówili o tych sprawach inaczej. Wspominano, że patronat młodzieżowy były, ale nie zdały egzaminów. Dziwnie to brzmiało w ustach tych, którym nieobca była budowa Nowej Huty i Mariensztatu.

Podobnie dziwnie brzmiały argumenty wygłaszane przy innych okazjach. Twierdzono, że inicjatywa patronatu jest popielem młodych, niedowarzonych głów, próbą zabluznięcia przez menagerów młodzieżowych organizacji. „Bo to pokopią trochę

łopatami, wywożą nieco gruzu i zaraz będą krzyżować, że im się należy, że nie mogą dłużej czekać, że potrzebują itp. A co z tymi, którzy piąty czy szósty rok czekają w kolejce, mimo że często kosztom wielu wyrzeczono, wpłacili cały pierwszy spółdzielczy wkład? Czyżby mieli zejść na drugi lub trzeci plan?”

Takie właśnie sądy, niestety, nie są odosobnione. Tworzą pierwsze bariery — nieufność, z którą tym trudniej jest walczyć, że nie jest okazywana oficjalnie. Do ludzi tak myślących nie trafiają argumenty, że w kraju potrafią znaleźć pierwsze rozwiązania tego problemu.

Młodzi z Katowickiego i Krakowskiego postanowili sami projektować i sami budować dla siebie bloki. Ich wkładem miała być przede wszystkim praca własnych rąk, bo o pieniądze jest szczególnie trudno, gdy odbywa się staż i stawia pierwsze kroki w produkcyjnym życiu.

Zeby zarobić na trzecią część spółdzielczego wkładu, przychodzili codziennie na budowę i przez cztery godziny zakładali instalacje elektryczne i wodne, pomagali przy wykańczeniu wnętrza bloków. Wśród młodych oczekujących na mieszkania są przecież ludzie różnych specjalności. Przeglądaliśmy spółdzielcze teczkę i w rubryce: zawód — widzieliśmy nie tylko elektryków i hydraulików, ale także absolwentów techników budowlanych, architektów i inżynierów po wydziale budownictwa lądowego. Jest rzeczą wiadomą, że nawet po studiach

trudno o pełne doświadczenie. Istnieje więc potrzeba opieki ze strony starszych doświadczonych budowlarzy. W Krakowie i Katowicach znaleźli się tacy. Czy w Łodzi ich nie ma? Są, a więc dlaczego łódzki patronat jest nadal w sferze dyskusji?

Musimy tu powiedzieć o tym, o czym informowano nas nieoficjalnie. Na przeszło dziesięć lat nie tylko przepisy, według których bank kontrolujący budowę żąda wykonania prac w określonym terminie. Trudno te same kryteria stosować wobec profesjonalistów i tych, dla których jest to praktyką lub zgoła tylko próbą znalezienia miejsca w życiu i dachu nad głową.

Budowane przez młodzież bloki muszą powstawać poza planem i limitami. W tym jednak przypadku opomocni młodzieżowych poczynań szermują najsłabszym argumentem — brakiem reglamentowanych przeciw materiałów budowlanych.

W odpowiedzi na takie rozumowanie zrodziła się akcja „Sygnal”. Akcja informowania o przejawach marnotrawstwa i bez troski na budowach. Jak obliczono, tylko jeden procent zaoszczędzonych materiałów (a na budowach, które obserwujemy marnuje się kilka procent) pozwoliłoby na wzniesienie 160 bloków. I jeszcze jedna liczba: tylko co piątą szybą dostarczoną na plac budowy może zobaczyć mieszkaniec nowego osiedla — reszta nie wraca nawet do hut w formie stuzeczki. Akcja „Sygnal” padła więc na podatny grunt. Młodzi zapalili się i pierwsze meldunki dostarczone do Za-

RYSZARD BINKOWSKI

Jasielskie Dionizja

Na jednym z jasielskich wzgórków wrzała gorączkowa praca. Pośród ryku silników spychacz pręży ziemię stalowymi pługami, omijając stojącą pośrodku warownię, osloniętą płotem. Była to chałupa babci Piętowej. Niektórzy z kierowców zapuszczali się na ten zakazany teren. Wtedy babcia Piętowa rzucała się krzyżem pod stalowe pługi. Aż się wnerwił jeden z młodych, przyhamował prawą gąsienicę, a zrobiwszy zwrot iście czołgowy, sygnął ziemią, kamieniami na leżącą pokutniczo kobietę. I babcia Piętowa przestała się pokładać w obronie swojej chudoby. Dziś może to śmieszne, ale ile wówczas tkwilo w tym dramacie...

1 września 1956 roku...

Zniszczone doszczętnie Jasło zaludniało się zwolna. Nie było przemysłu, przybywało rak do pracy. Przeto z inicjatywy władz partyjnych rozpoczęto budowę nowego zakładu, zwanego dziś „Pektowinem”, który miał się specjalizować w pędzeniu wina. Władze z wysokiego stołca krzywo patrzyły na tę budowę, dopatrując się w niej nawet aktu politycznej dywersji. Bo nie było bazy surowcowej. Ale baza się znalazła, rozrósł się „Pektowin”. Budowano go w pośpiechu, nie zdążono wywłaszczyć dawnych właścicieli i stał się cała historia z babcią Piętową...

O tych dniach minionych wspomina Kazimierz Duliban, przed 15 laty fachman budowlany, dziś kierownik magazynu w „Pektowinie”. Budował wytwórnię, przeszedł do produkcji w chwili jej uruchomienia w roku 1960. Przez sześć lat przewodniczący rady zakładowej. Nie odejdzie stąd, choć nie zawsze są powody, do zadowolenia. Rzecz do tychczas zwyczajna — trudności obiektywne...

W 1962 roku sterylizowano butelki przy pomocy SO₂. Ze stalowych butli na urządzeniach niemieckich. I wtedy jedna z pracownic wyjechała na wózek z sali, pchnięta siłą wybuchu. Ofiar w ludziach nie było, chociaż rozwalilo pół kabiny. Ekspert z AGH stwierdził, że wybuch nastąpił wskutek wyeksploatowania butli. Ale i tak Jan Falger — od 1952 roku w branży winiarskiej, a od 61 roku kierownik rozlewni w „Pektowinie” — miał sporo kłopotów. Falger — ciekawy człowiek. Był już majstrem fermentowni, leżakowni i kupażu, kierownikiem magazynu wyrobów gotowych, by się wreszcie utrwalił na stanowisku kierownika wydziału

produkcji konserw. Najlepszy przewodnik w drodze, na której jabłko przeobraża się w dionizyjski nektar.

Teren około 15 hektarów. Pośrodku, na wielkim dziedzińcu dwie splawialnie przesyłek jabłek: wagonowa i samochodowa. W ciągu doby można tu zmagazynować 200 ton jabłek, które pod ciśnieniem wody idą rynną splawną w podziemiu, by wysoko pod niebem przedostać się do budynku, gdzie na stalowych rusztach gubi się wodę. Owoc pod przysznice spada na taśmę. Sprawne ręce robotnic odrzucają zgnilki. Zdrowe jabłka idą na wagę automatyczną, stąd zaś do turbinowych młynków. Miazga przechodzi na prasę hydrauliczną. Uzyskany sok przeznaczony jest na wino albo na płynny owoc: jabłkowy, truskawkowy, z czarnej porzeczki. Z soku powstają wytloki, a z wytlóków — po odciążeniu pektyny — zostaje znakomity dodatek do pasz, o który dobijają się rolnicy z powiatu.

Powstały moszcz albo się magazynuje, albo daje wprost do produkcji. I wtedy następuje pasteryzacja i fermentacja, trwająca około 6 tygodni. Z kolei to już niemal gotowe wino ściągają do leżakowni na okres trzech miesięcy. Potem jest kupaż: docukrzenie, dokwaszenie, godanie wyciągu ziolowego do wermutu. Po kupażu filtrowanie, a dalej automatyczne rozlewanie z taśmowym kapslowaniem i korkowaniem. Stąd już bliska droga na rynek...

Mówi mgr Czernicki, kierownik wydziału produkcji win: — W 1960 roku zaczęliśmy pracować na moszczach sprowadzanych. Dziś, już na własnych, produkujemy głównie wina owocowe: „Podkarpacie”, „Bieszczady”, „Tatrzańskie”, „Jagienska”, wina markowe. Może ciekawostka... W 1968 roku wysłaliśmy luzem na Węgry (!!!) 300 tys. litrów białego słodkiego. Dużo eksportuje się do ZSRR, zwłaszcza „Podkarpacie”. Na moim wydziale pracuje czterech ludzi z wyższym i czterech ze średnim wykształceniem. Młody personel, z którego jestem bardzo zadowolony. Zrobili u nas znakomite wino, zwane popularnie „patykiem”, często pogardzane, pite chętnie po bramach i skwerach, a którego właśnie najwięcej wysyłamy na eksport. (Dogłębna degustacja potwierdza tę opinię — przyp. R.B.).



Fot. A. Pietrzyk

Rocznie produkuje się u nas 7,5 mln litrów wina, z tego 300 tys. l. idzie na eksport. Płynnego owocu wychodzi z „Pektowinu” 1.200.000 litrów rocznie. Zakład daje w sezonie zatrudnienie dla 1200 osób, głównie z powiatu, i to jest naszym dużym wkładem do likwidacji nadmiaru rąk do pracy. Ale nie samym winem stoi jasielski „Pektowin”.

Pas podgórski i nadmorski słynie z najlepszego wysypu zielonego groszku. Podczas dobrego wysypu do „Pektowinu” wpływa dziennie 150 ton strąka. Wyjął cztery młocarnie, pęka rura z wodą, zaczyna się „zielone piekło”. Jan Falger siwieje i rwie włosy z głowy, bo choć rura nawet nie pęknie, to i tak zabraknie wody w wytwórni i w mieście. Przed laty bowiem nie planowano tak szybkiego rozwoju Jasła, jak i nie planowano uruchomienia produkcji groszku, który po omłocie może leżeć tylko sześć godzin. Potrzebna jest woda do sterylizacji, inaczej nie będzie konserw. Teraz doszły jeszcze ogórki, a stąd czerwiec, lipiec stają się okresem zielonego piekła. A przecież z tych konserw więcej dewiz niż z wina. 10 proc. produkcji ogórków idzie na eksport do Anglii, NRF, NRD i Australii, groszek nawet do Afryki.

Robotnicy czynem społecznym założyli oświetlenie do połowy fatalnej drogi. Chcieli też założyć chodniki, ale władze miejskie nie zgodziły się na zakup płyt.

Robotnicy zbudowali za pieniądze wytwórni dwa bloki mieszkalne. Jest kapela ludowa, zespół taneczny, klub sportowy z wybudowanym w czynie społecznym boiskiem.

„Pektowin” kilkakrotnie zamortyzował koszty budowy, wypłaca się państwu dewizami. Tymczasem robotnik na rampie, transportujący dziennie tony butelek zarabia średnio 1200 złotych. Ostatnio postanowiono, aby ten samodzielną i stosunkowo duży zakład przyłączyć do rzeszowskich wytwórni win. Ludzie jednak wierzą, że coś się zmieni... Oby...

Aco z babcią Piętową? Nie narzeka. Mieszka w nowym domu, dość wygodnie i może nawet nie wie, że na jej gruncie pracuje zakład, którego produkty konsumuje się w statecznych domach Londynu; którego winem wznosi się toasty w Moskwie, a pikantnym smakiem ogórków delectują się mieszkańcy Australii i Afryki.

rządu Łódzkiego ZMS tworzą spory plik dokumentów. Oto tylko niektóre z nich noszące datę 6 maja.

Przedziałniana 31 — od siedmiu miesięcy leży nie zabezpieczona prawidłowo wapno i cement razem około tony.

Nawrot 87 — na chodniku leżą płyty ogrodzeniowe w ilości około 50 sztuk. Od kilku miesięcy.

Na tyłach „Agromy” przy ulicy Zabieniec leżą dwa słupy oświetleniowe oraz dwie szyny kolejowe.

Obok Właduku nad torami kolejowymi przy ulicy Limanowskiego, w nie zabezpieczonej przez LPRI szopie, leży 70 worków cementu oraz kilkadziesiąt bel waty szklanej.

A więc to niepełna prawda, że brakuje materiału. Jeden z nas mieszka na Zarzewie i niemal codziennie widzi jak dosłownie toną w błocie worki z cementem, składowane na wolnym powietrzu, jak ciężkie „Zily” miazdzą całe fragmenty mieszkań prosto z bazy prefabrykatów. Na ulicy Tatrzańskiej przy wznoszeniu bloków numer 8, 9, 10 ułożono drogę dla pojazdów z prefabrykatów pozwalających na wzniesienie kilku mieszkań.

Wydawać by się mogło, że w odpowiedzi na akcję „Sygnał” nadejdą wyjaśnienia co zrobiono, żeby zapobiec marnotrawstwu. Stało się jednak inaczej. Rozdzwoniły się telefony, zaczęły nadchodzić listy. Zainteresowane przedsiębiorstwa domagały się jednak tylko podania nazwisk tych, którzy

przekazali informację. Nikomu nie chciało się pójść na budowę, żeby dostrzec to, o czym pisali nie tylko młodzi ZMS-owcy.

Pozostaliśmy jeszcze przez chwilę na placach budowy. Jest to typowe dla Łodzi zjawisko, że zanim wzniesione zostaną nowe bloki, trzeba rozebrać kilka parterowych, a co najwyżej piętrowych ruder. To bez żadnej przesady „łódzkie Clondike” i dlatego tak bardzo ową złotą żyłę obstarwiają prywatni przedsiębiorcy.

Rozmawialiśmy z dyrektorem Inwestycji Miejskich — pokazano nam wykazy sum jakie uzyskuje się w drodze przetargu. Najczęściej powtarzały się kwoty trzech, czterech a bardzo rzadko ośmiu czy więcej tysięcy złotych. Według opinii tych samych fachowców, prywatny przedsiębiorca, po opłaceniu robocizny, inkasuje do własnej kieszeni za deficytowe materiały budowlane minimum 20—40 tysięcy złotych. Suma niebagatelna jeśli zważy się, że starczyłoby to przynajmniej na dwa pełne wkłady mieszkaniowe.

Może by więc organizacją takich rozbiórek zainteresować studenckie spółdzielnie, bo pozostałym spółdzielniom, mieniącym się „budowlano-montażowymi” bardziej opłaca się świadczyć usługi dla potentatów przemysłowych, aniżeli „paprać się” rozbiórką ruder.

Zysk byłby podwójny. Jeden o którym już wspomnieliśmy i drugi równie istotny — ukrócenie spekulacji materiałami budowlanymi.

Zapewne będą oponenty. Praca na rozbiórkę to przecież swego rodzaju ekwilibrystyka na pewnej wysokości. Zgoda, ale nie starajmy się zrobić z młodych ludzi samych ślamazarów i niedojdów. Widzieliśmy przecież przy rozbiórkach domów ludzi w wieku emerytalnym, których trudno posadzić o młodzieńczą sprawność fizyczną.

A co do spraw BHP — to wystarczy fachowa porada kolegi inżyniera, kilka kas-ków i pasów bezpieczeństwa.

Ktoś kiedyś powiedział, że pieniądze leżą na ulicy. Ośmielamy się twierdzić, że tak jest naprawdę. Tylko nie zawsze trzeba się po nie schylać — często trzeba podnieść nieco głowę do góry.

I wreszcie rzecz najtrudniejsza. Każdy z rozmówców określał to jednym słowem — ryzyko. My raczej nazwalibyśmy to odpowiedzialnością. Przez wiele lat odzwyczajaliśmy od tego ludzi na eksponowanych stanowiskach, wyręczając się enigmatycznymi kolektywami, zwoływającymi od przypadku do przypadku i składającymi się najczęściej z również przypadkowych ludzi. Kolektyw rozgrzeszał nawet od myślenia. Na anegdotę co najmniej zakrawa fakt, że jeden z projektów budowlanych przedyskutowany został przez kilka kolektyw, a po zbudowaniu domu okazało się, że nie posiada on klatki schodowej. Przypomnijmy także, że jeszcze do niedawna w naszym województwie zdarzały się budynki, do których wmontowywano kuchnie węglowe za-

pominając o wzniesieniu komina. Kilku takich eksponowanych ludzi ze spółdzielni mieszkaniowych mówiło nam w zaufaniu, że podejmą się ryzyka, jeżeli patronat nad dodatkowymi młodzieżowymi blokami zostanie uświęcony odpowiednią pieczęcią i podpisem. Gwarantuje to spokój nawet w przypadku niepowodzenia. Latwo wtedy powiedzieć — „ja byłem przeciw, no ale...”

Poprzednich rozmówców nie wymienialiśmy z nazwiska. O jednym „ryzykancie” chcemy powiedzieć nawet z podaniem imienia. Jest nim Adam Walczak, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Osiedle Młodych”. Nie czekając na odgórne błogosławieństwo podpisał z ZMS porozumienie o utworzeniu środowiskowego hufca pracy składającego się z 21 młodych ludzi z łódzkich fabryk. Przez pięć dni w tygodniu pracują przez cztery godziny przy porządkowaniu osiedli administrowanych przez spółdzielnię. Po półtora roku zarobią w ten sposób jedną trzecią swego wkładu. Pozostałą część uzupełnią własne oszczędności i zakładowa pożyczka.

Prezes przyrzekł również, że wtedy postara się umieścić ich także w jednym bloku. Byłby to zatem pierwszy blok z patronackim szyldem. Miejmy nadzieję, że do tego czasu spróbują zaryzykować i inne spółdzielnie.

Włodzisław Łuszczykiewicz
Henryk Polak

ZYGMUNT FIJAS

Zagórski, Czachowski, Kołoniecki kardynał Wojtyła, Polewka

(ZE WSPOMNIENIA ZAANGAŻOWANEGO SCHEMATYSTY)

Według Słownika Polskich Pisarzy Współczesnych 1944-1969 miałem otrzymać, jakoby, nagrodę województwa krakowskiego. Nie pamiętam, czy tak było. Ale nawet jeśli to prawda, to maczali pałce w tej nagrodzie chyba Jerzy Zagórski, Witold Zechenter, Mieczysław Weyman (obecny rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie), wówczas kolega siostry Leona Kruczkowskiego (jak mi się wydaje) i zapewne Adam Polewka.

Wszyscy wymienieni ludzie byli powiązani z wojewódzkim wydziałem kultury, a także resortem propagandy. Kto wie, czy nie w czasach wojewodowania Pasenkiewicza. Tyle różnych zawiadomień mam o pieniądzech skarbowych z podpisami tych ludzi, że nie wiem, komu zawdzięczałem ten literacki, skromny kubań. Coś, jak przez mgie, widzę poetę Jerzego Zagórskiego, jak kładzie mi na biurku jakąś kartkę, mówiąc z uśmiechem: „Otrzymał pan nagrodę”. I zaraz wypłacił ileś tam. Ale chyba nie więcej niż pięć tysięcy. A może mniej.

Ale innego dnia, rozdrażniony podczas pobierania butów, które mu nie odpowiadały, lunął mi szpetnie: „Ja nie stąkam po trupach”. Znaczący się, iż zbyt lekko traktuję różnych pokrzywdzonych zdetrakowanych, co nie odpowiadało prawdzie, chociaż nie uważałem, aby niektórzy z nich tak podle się mieli. Ileż to razy widziałem żonę jednego z dramaturgów, ziemian, którego okupacja niemiecka wyratowała z ruiny finansowej (bandosi zza Wisły sypiali w jednej izbie, w czworakach jego posiadłości, razem z bandoskami), passywa jego przedwojennego posiadania były większe od aktywów, majątek mógł iść na bęben skarbowy; pani ta, której śliczny profil zdobył jedną z naszych przedwojennych srebrnych monet, przechodziła z menażkami pod oknami domu literatów, aby zmanifestować swe ubóstwo i poniewierkę. A przecież mogła jadać w stołowie domu literatów tak, jak jadali: Edmund Chojcecki, Artur Górski, Jerzy Szaniawski, Staff, Przyboś, Bodgan Zyranik, Zawieyski oraz Breza. Szła zaś z menażkami po obiad prywatnie gotowany, o wiele treściwszy kalorycznie i smaczniejszy od naszego stołkowego. Do siostry Samuela przy ulicy Smoleńsk na pewno nie szła po obiad, jak myśły chadzali niektórzy, później wybitni ludzie.

Matka jednak pewnych naszych krakowskich, wysoko urodzonych koleżanek umarła z wyczerpania głodowego, to jest pewne. Nawet zastrzyki z witaminy C i glukozy jej nie pomogły. Stało się to w srogim dla wszystkich, także i dla walczących żołnierzy, styczniu.

Zagórski miał chyba w pamięci pewien felietonik, w którym przyrównał twarz kamienieczka do twarzy smażonego kiełbasa w spodniach ze strzemiączkami. Zapomniał, jak to ofiarował mi przed wojną swoją książkę „Przyjście wroga” z dedykacją; wydrukował mi utwór w „Apelu” w „Kurierze Porannym” (warszawskim), z powodu czego miałem wśród lewicowców nieprzyjemności, bo powiedzieli: „Na apel to jest ten „Apel”, nie rozumiesz?”

Na jaki „apel” był, to był, ale Zagórski swą głowę też miał.

Zapomniał mnie jako swego gościa w swym starym mieszkaniu na Zoliborzu — ten łącznik między pracującym w ministerstwie Apropozycji i Handlu innym poetą z Zagórów — Aleksandrem Rymkiewiczem a związkiem krakowskim. Byłem gościem na porę urzędowym. Gospodarz zaś zamknął się w swojej mieszkaniowej świątyni dumania — i tak się w niej zadumał, że się rozczynał w gazecie na amen.

„Pan wie, jak ja Jurka odzwyczajałam od czytania gazet w W.C.? — rzekła mamusia tego poety. — Brałam do ręki gazetę, stawiałam pod drzwiami wygodki i czytałam mu artykuły na głos. On zaś siedział w niej i się odzwyczajał”.

Do dzisiejszego dnia przechowuję liczne autografy tego poety.

Pośród papierzyk z tych dawnych czasów przechowuję list Kazimierza Czachowskiego, wtedy dyrektora departamentu literatury, z prośbą o wyszczególnienie mieszkania w domu literatów dla jego znajomego, Mieczysława Broniatowskiego, później dyrektora departamentu lub naczelnika wydziału w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

„Warszawa 17.XI. 1945

KOCHANY ZYGMUNCIE!

Jeśli jesteś chłop z wiary, a wiem, że nim jesteś, to memu koleźce i przyjacielowi, Mieczysławowi Broniatowskiemu wyndajdziesz jakiś pokój w Związku do zamie-

szkania na przejściowy okres jego pobytu w Krakowie.

Najlaskawiej Cię o to proszę.
Moony uścisk dłoni łączy
Kazimierz Czachowski”

Nie wypada drukować listów zaadresowanych na swe nazwisko, bo nie wypada. Ale skoro wylomu w tym tabu dokonał Jalu Kurek, drukując w swej książce „Mój Kraków” fragmenty listów, pisanych do niego, to i mnie wolno. Kazimierz Czachowski był historykiem literatury, krytykiem i to znanym; przy tym był dyrektorem ważnego dla nas, ludzi pióra, resortu. A któż w tych czasach nie pracował jako kierownik od dysza literatury? Byli dyktorami w ministerstwie: Mieczysław Drobner, Michał Rusinek, Jerzy Plomiński, a także pewien literat — emigrant o pierwszej literze nazwiska „W”. Leon Kruczkowski był wiceministrem Kultury i Sztuki wtedy, gdy ministrem był Kowalski. Obaj ci urzędujący pisarze mieli do siebie anse. Urzędowali nie mówiąc do siebie przez długi czas, jak wiem. A wiem dobrze, Trzeba ratować przed zagładą różne papierzyka i przypomnienia. Kiedyś, a może już dziś mogą się one komuś do czegoś przydać.

Kazimierz Czachowski, cierpiąc na przewlekłą stenocardię, która go wreszcie uśmierciła we śnie, odwiekał z pomocą kielicha swą ostatnią chwilę. To przyknie wroga.

Halina Dąbrowska, dobra znajoma Plomińskiego i Czachowskiego i Michała Rusinka, opowiadała mi w Łodzi, iż widywaną w Warszawie autora tego listu w sprawie Broniatowskiego w różnych stanach pijackiej euforii, więc rozanielenia. I to wtedy, gdy był on dyrektorem departamentu. Miała mu za złe, iż reprezentuje w ten sposób interesy literatury: ulegając napadom swych słabostek. Zostawmy innym sędziom te sprawy. One często, gdy ludzkie, nie są tak proste, jak stolowe nogi! Sam od czasu do czasu nie wylewam za kołnierz, nikomu nie zalecam tego niewylewania, czy jednak istnieją skutki bez przyczyn? Usuwajmy skutki, ale też i przyczyny. Czachowski nie wypijał z rodziną i „somsiadami” po sto litrów spirytusu na chrzciny lub w czasie wesela. Nie miał warsztatu chałupniczego, składającego się ze stu pododdziałów, ani nie administrował kilkusetom kamienicami, mając swoich sześć, jeśli się to może dziś gdzie w Łodzi przytrafić.

Przy okazji tego wyżej cytowanego listu Czachowskiego pozwolę sobie zacytować Romana Kołonieckiego. Ten poeta, redaktor, tłumacz Paul Claudela i Valery’ego i innych, nie będzie mi miał za złe, jeśli wydrukuję jego pocztówkę napisaną w dniu dwunastym listopada roku 1945 w Poznaniu i przesłaną na mój adres. Sprawy poetów znanych są sprawami publicznymi. Ta pocztówka, być może, jest cennym przyczynkiem do owych wojennych czasów, kiedy artyści całej Polski rozpieczęli się. Każdy z nich znalazł jakąś myśłą dziurę po powstaniu.

„DROGI PANIE!

gdyby zjawiła się u Pana młoda osoba p. Wład. J.....ka koleżanka mojej siostry, prosilibym bardzo o wydanie jej mojej koldry, którą był Pan łaskaw wziąć na przechowanie, oraz tych drobiazów moich, które leżą w składzie w kącie koło okna, mianowicie: garnki, kubeczki, talerze, noże, widelce, przybory do golenia itd., złożone na jedną kupkę. Te rzeczy bardzo się na moim skąpym gospodarstwie przydadzą, a trudno mi samemu przyjeżdżać po to do Krakowa. Będę Panu bardzo wdzięczny, jeśli Pan i koldrę i te drobiazgi p. J.....kiej wręczy. Co u Pana słyszał? Czytam Pana często tu i ówdzie — stał się Pan szalenie pracowitym i płodnym pisarzem, przypuszczam, wobec tego, że zarobki Pańskie są imponujące? Jeśli nie, to szczerze Panu tego życzę i ściskam mocno prawicę —

oddany
Roman Kołoniecki.”

Zarobki nie tak były imponujące, co jednak były. I otrzymywane za szczerze, niezaklamane słowa. Później niektórzy o wiele więcej zarabiali na bluffowaniu.

Przy sposobności warto by zacytować telegram do Czesława Miłosza, przyniesiony przez woźnego radiowego i chyba przez niego napisany pod dyktando cieszyniaka, Zdzisława Nardelli’ego, ucznia Przybosi: „Zdzisław Nardelli przyjął Następujący telegram Polskie Radio Kraków Czesław Miłosz Kwizyń 17.XI. przyjąć że na Święta odmarsz Kwizyń na ktury Panstujesz Inzynier

SLYCKO”.

Ten pytyjski telegram chyba zapraszał Miłosza na święta do Kwizyń.

Wspomniałem w dawnym pierwszym odcinku, drukowanym w tym piśmie, przy okazji Natalii Rolleczek, iż wszyscy księża, jakich znałem, po zdjęciu przez nich sukienki duchownej, mieli ten sam habitus, uładzenie w gestach, co autorka „Drewnianego różańca”. Lubili oni ciemne ubrania, podobnie jak Ernest Renan. Znałem pewnego byłego profesora teologii na Sorbonie, który w krakowskiej kawiarni Domu Plastyków, gdy kelner zbyt ociągał się z przyserwowaniem rogalaika maślanego do blond-kawy, miotał się, wymachiwał rękami i kłął półgłosem jak szewc. Rygory seminarijne nie zawiązały mu języka, nie spętały gestykulacji.

Tadeusz Breza dlatego, że nie skończył nowicjatu w klasztorze benedyktynów w okolicach Brugii z powodu wymówienia mu pobytu w tym monasterze, albowiem, jak pisze o sobie, zbyt interesował się lekturą tekstów biblijnych, a zwłaszcza sprawą Judith, miał w sobie coś z duchownego. Ale o wiele więcej — świeckiego.

Duchownym już z samego wyglądu był gimnazjalny kolega Kwiatkowskiego, Karol Wojtyła jeszcze wtedy, gdy jako świecki student grał jeden z Znaków Zodiaku — „Byka” w sztuce Romana Niżyńskiego „Kawaler Księżycowy”. W sztuce-widowisku, wystawionym z okazji pierwszych Dni Krakowa w Collegium Majus, więc na dziedzińcu dawnej Biblioteki Jagiellońskiej, w starej, dostojnej oprawie architektonicznej. Któż mógłby przypuścić, że ten bładawy student w stroju wypożyczonym z rekwizytorni poważnego teatru zostanie kiedyś w tak młodym wieku metropolią krakowską i kardynałem?

Jak wiemy został nim, Jest kolegą purpurata kardynała Wyszyńskiego.

Slykałem się z różnymi ludźmi, tego otraskanymi z zawilgocionymi filozoficznymi. Nikt nie był tak obeznany z subtelnościami jak ów — były robotnik, były student-aktor i przyszył purpurat. Rzecz prosta nie opowiadam się po stronie Wojtyły. Imponuje mi jednak cudze czytanie oraz zręczność w wykorzystywaniu wiadomości. A zręcznym doradcą zabiłką-

nych i bezradnych umiał on być. Co najważniejsze, nie sprawiał wrażenia księdza.

Bo też wtedy chyba jeszcze nie zamierzał nim zostać. Zaczynał myśleć. Podobnie jak chłop i robotnik, gdy zaczyna czynić to samo. I poziom jego myślenia staje się nierzadziej wyższy niż dawnego tak zwanego krótkiego słownika filozoficznego, według którego filozofem był Lysenko i Olga Lepieszynska. Owa myślicielka biologii, nie znająca jeszcze praw działania kwasów rybonukleinowego i dezoksyrybonukleinowego, RNA i DRNA, które podobno można wyekstrahować z jednego plazińca i wstrzyknąć drugiemu, aby ten uzyskał te same odruchy warunkowe, co ten pierwszy. Te kwasy mają zastąpić filozofię, są kodami naszego życia, matrycami dla wszystkiego, co żywe.

Szkoda, że Natalii Rolleczek nie można teraz wstrzyknąć owych kwasów, które powodowały, iż na pamiętnych imiennach u Hołuj przy ul. Gertrudy była ona żywa jak żywe srebro. Zapomniała o tresurze ochronkowej, a może i ziemiańskiej — w czasach, gdy ta przyszyła pisarka znalazła schronienie we wsi Ujazd pod Krakowem we dworze Jąbrzychowskich, którzy też mieli w rodzinie kardynała. Nie byłaby ta „Tala” tak śmiertelnie poważna. Bardziej wdzięczna na sposób francuski, z esprit.

I seminarium w mieszkaniu Adama Polewki przy Krupniczej ukończyłaby z większym humorem. Ten pisarz bowiem był rektorem rozumnym i wesołym. Jedynie wtedy poważniał, gdy on stawał się seminarzystą, ja zaś jego rektorem, Rektorem w sprawach łapania synekur i dostojnictw przez różnych ludzi ze starej, przedwojennej demokracji: nieraz bliskich kolegów tego, jak go nazywałem przekąśliwie, świętego Franciszka socjalizmu: Adama Polewkę, syna krakowskiego majstra budowlanego, Czyli, jak w naszym mieście mówiono: „budowniczego”. Arystokrata wśród cieśliów, murarzy i nosicieli tak zwanej po galicyjsku „malty”, czyli murarskiej zaprawy.

Arystokratą był jednak ojciec Polewki, póki miał robotę. Gdy jej nie miał, mniej znał przy Krowodrzy u Grzymsika, niż byle „kita”, która w języku budowlanych oznacza kilka deseczek lub palików na podpalce.

ALEKSANDER NIKOŁAJEW

Rosyjskim poetom

Car nie lubił, gdy poeta rysował,
Jeżeli mu pisać nie wolno było.
Poeci nie mogli istnieć bez słowa,
Gdyż jest to jak życie najhojniejsza ich miłość.
Poetą — zawsze — wielkiej prawdy usta.
A w Rosji kiedyś kazano ubóstwiać
Najgorszą sztukę ze wszystkich na świecie —
Sztukę zamykania ust poecie.
Gdzież, prawdo, jest głos twój? Czy w skałach się schował,
Czy też go ziamano haniebnym gwałtem,
Gdy skamieniały usta Lermontowa
Na pojedynku — w śmiertelnym swym kształcie.
Do dziś lamentuje nad Maszukiem burza,
Jak nad losem ludzkim, zwiastując zmyry.
Martynow żyje. Wszędzie od tej pory
W krwi dymiącej poetów żelazo zanurza.
A gdyby nie ten, to cóż — w życiu naszym
Znaleziono by łatwo innego człowieczka: —
Każdy z nas ma swoją górę Maszuk,
Każdy ma swój las nad Czarną Rzeczką.
Ktoś tropi Mozarta — Mozart wciąż umiera,
Pochylony nad ziemią, jak nad trwożną nutą.
I wciąż wzbiera smutek,
Choć nie wierzę wcale, że na świecie teraz
Coraz mniej Mozartów i więcej Salierich.
Nas jest mało jak światła na niskim poddaszu.
Śmiało strzelaj do tego człowieczka,
Który cię zaprowadzi na górę Maszuk
Lub zaprosi do lasu nad Czarną Rzeczką.

Przełożył z rosyjskiego WASYL KOCZNOW

GIENNADIJ AIGI

Pożegnanie

Widzę cię jak światło w pomarańczu
kiedy ja łamią
cisza twoja rozjaśniała oczy
z dala jeszcze bez dotyku
jakbyś widziała bez źrenic —
głębią gorącą czerwoną

Jakbyś ramionami i pierścią
ramionom moim tłumaczyła
że w zbliżeniu jest oddalenie
ale czy mogłem się gniewać
jeśli to było
cichsze od ramion
cichsze od pierści
cichsze od rąk

Zapamiętałem niby otwarte okna
wszystkie twoje dziecięce imiona
One były tylko moją własnością
Pozostały jak śnieg
po tamtej stronie
bramy więziennej —
cichsze od śmierci
cichsze od ciebie

Przełożył z rosyjskiego WASYL KOCZNOW

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

Ballada o miłości do kobiety i ziemi

Rene Wellek i Austin Warren w swojej „Teorii literatury” w rozdziale zatytułowanym „Euforia, rytm i metrum” piszą: „Prozy rytmicznej można zapewne bronić tak samo jak wiersza. Jeżeli dobrze wykorzystuje swoje środki, zmusza nas do pełniejszego rozumienia tekstu; uwydatnia, wiąże, tworzy stopniowanie, sugeruje paralelizmy — organizuje mowę, a organizacja jest sztuką”.

Niech ten teoretyczny cytat będzie światłem, w którym zobaczymy książkę Ryszarda Binkowskiego — „Sypała brzezina złotem czerwienią”. Napisałem „książkę” nie „prozę” i użyłem tego słowa rozmyslnie, gdyż sądzę, iż mamy tu przykład właśnie prozy rytmicznej, czyli takiej prozy która nie jest ani prozą ani wierszem. Z drugiej strony jednak nie ma w książce Binkowskiego takiego zagęszczenia materii poetyckiej, by można nazwać prozą poetycką.

Byłaby to zatem proza rytmiczna skazana tylko symbolami poetyckimi, ściślej, słowami poetyckimi i co już jest sprawą istotniejszą, sytuacjami poetyckimi, bliższa w gruncie rzeczy temu, co nazywamy prozą, niż poezją. Pojawiają się co prawda w książce zdania, które rozciągają stronicę poezją wysokiej próby, ale nie ma zaimprowizacji budowania każdego zdania na tej zasadzie, a zdarzają się nawet fragmenty, brzmiące reportażowo.

Chciałbym teraz uściślić to, co nazywałem „słowami poetyckimi”. Chodzi mi mianowicie o to, że Binkowski daje przy zbitym zaufaniem słowa takie, jak: zorza, słońce, złoto, fiolet, krew, a nie daje poetyckiego ekwiwalentu tych słów.

Czyżby zatem książka Binkowskiego wychyliła się z tego światła, w którym ją ustawiliśmy? Nie, bo pozostał jeszcze jeden element strukturalny, który nazwałbym sytuacją poetycką, on właśnie przeważa przystawowy języzek, że książka jest książką poetycką.

Nie chciałbym być gołostowny, cytuję więc przykład takiego rozumienia wartości poetyckiej: „Upilem się na odpuszcę. Wygrałem gipsowego bociana. Ten bocian nieśdzięciatko na grzbiecie. Chciałem go podarować Marysi. Ukląknę pod karuzelą. Wtykałem bociana w te Marysine dionie, pełne wiatru. Ale jej palce były już dla mnie zimne. Wyleciał bociek z tych zimnych palców. Rozrzaskał się. Potoczyła się głowa, szły — do stóp odpuszczonego bębniasty. Na dzieciatko wdepnął pijany syn kowala. Smieli się ludzie”.

W tym poetyckim opisie sytuacyjnym jest tylko jedno zdanie, a wiadomości drugie czcionki tego zdania, który możemy przyjąć jako figurę poetycką. Będą to „reze pełne wiatru”. Człon pierwszy jest opisem sytuacyjnym.

Wymieniony fragment ma całą poetycką dramaturgię. Przeanalizujmy ją. 1. Miejsce akcji jest odpuszcę, więc miejsce poetyczne. Na tym nie koniec, autor każe bohaterowi ukląknąć pod karuzelą, zdając sobie sprawę z wizualnej wartości takiego wyboru. 2. Gipsowy bocian niosący dzieciatko na grzbiecie, to nie tylko rekwizyt, ale sytuacja poetycka. 3. Ruch szły tu wyodrębnienia szczegółu takiego, jak: głowa, szły bociana, szczegół przez to uzyskuje rangę skrótu. Gipsowe dzieciatko spadające z grzbiecia roztrzaskanego bociana, to sytuacja nadrealna, a więc również poetycka.

Suma takich chwytów, jak wyżej wymienione, tworzy obrazy, które nazwałbym sytuacją poetycką.

Uważny czytelnik spostrzeże zapewne, że dotąd nie padło słowo powieść. Bo też książka Binkowskiego w takim rozumieniu, do jakiego przywykliśmy, powieścią nie jest. Czym w takim razie jest? Książka Ryszarda Binkowskiego „Sypała brzezina złotem, czerwienią” jest balladą, ale nie tą balladą podług słownika: „fabularny utwor poetycki o wątku historycznym lub fantastycznym, zazwyczaj zacierpnięty ze świata legend i baśni ludowych”, gdyż treść ballady Binkowskiego jest treścią współczesną, a to, co ją w taką formę organizuje, to głównie jej rytm wyrażony w dwudziestu strofkach — rozdziałach, akcentowanych obrazem, w którym zawsze występuje rzeczownik „rokielina”.

Dorodne i dobre owoce obrodziły na tym balladowym drzewku. Współczesny temat zderzony z tradycją i obyczajowością wlejską dał stronicę szerszego talentu.

Scena procesji. Przewodzi ksiądz. Za nim organista. Chór kobiet intonuje pieśń kościelną. Procesja chodzi wkoło boiska, na którym zetempowcy z miasta i miejscowa młodzież ubrana w majki i sportowe koszulki gra w „siatkówkę”. Kobiety śpiewają i opiewają krajażych. Wyganiają z nich szatana. Współczesne szczyrzymy. Ujęcie godne filmu Felliniego.

Chciałbym teraz zrobić pewne porównanie. Mianowicie, w debiutanckim tomiku Tadeusza Nowaka „Przebudzenia” opisana jest gra w palanta. Ci, którzy przegrali, siadali wprost na bioniu. Zwycięzcy natomiast mieli prawo zasiąść w koronach wierz — pisze autor. Zwycięzcy, siadając pod koroną drzewa, zostawali tym samym jakby u k o r o n o w a n i. Wyjątkowym nie wolno było się odzywać. Musieli słuchać rozkazów zwycięzców. Wielka metafora. Okrutna zabawa w dorosłych.

U Binkowskiego też zabawa. Hokej. Nie ma srebrnych liżew, tylko pod spodem trępow drut „wyciszczony do polysku pięciologoszków”. Zabawa na sadzawce. Opis zabawy. Młodszy brat rozbija łuk brwiowy. W domu ojciec sięga po pas. Bohater i jego młodszy brat dostają smary.

O co mi chodzi. W przypadku procesji Binkowski umiał stworzyć metaforę, albo metafora zaistniała sama dzięki sytuacji, jaka wytworzyła się między grającą w piłkę młodzieżą, a rozfanatyzowanymi kobietami. Zabawa w hokeja jest tylko obrazkiem. Takich reportaży — obrazków jest w książce Binkowskiego sporo i nie jest to wartość godna kontynuowania.

Z uwagą tą wiąże się także artystyczny język książki. Trafiają się w niej pewne niedostatki, szczególnie w dialogu, który jest najsłabszą stroną języka. „Sypała brzezina złotem, czerwienią”. Chłopskość tego języka jest sztuczna, przypomina monologu solisty występującego w radiu i telewizji.

Znakomity natomiast jest język w partiach opisowych, przyroda zmysłowa, aż dotykalna, a równocześnie opis stylizowany. Widac ogromne możliwości, które powinny zostać przezszeptions na słabą piątą książkę.

*) Ryszard Binkowski, „Sypała brzezina złotem czerwienią”. Wydawnictwo Łódzkie, 1971 r., s. 112.

POLONICA

TRIUMF
TADEUSZA KANTORA

Krakowski zespół Tadeusza Kantora „Cricot II”, po niedawnych sukcesach we Włoszech, zatriumfował we Francji. Najpierw na festiwalu w Nancy, gdzie wystawiona przezeń „Kurka wodna” Witkiewicza wywołała silne wrażenie. Następnie w miejscowości Malakoff pod Paryżem, gdzie niedawno zbudowano nowoczesny teatr. Claude Olivier napisał w swej recenzji w „Lettres Francaises” z 19. V. 71 r., że tegoroczny festiwal w Malakoff pozwolił poznać zespół nadzwyczajny: teatr „Cricot II” z Krakowa.

„Wobec inercji Teatru Narodów byłoby rzeczą bardzo pozytywną, gdyby nasi dyrektorzy teatrów starali się sprowadzać najlepsze zespoły zagraniczne; można przypuszczać (...) że byłby powołani, by wybrać to, co za granicą reprezentuje teatr prawdziwie żywy”. Recenzent żałuje, że spektakl tak interesujący, jak ten, który dał „Cricot II”, mógł być grany tylko dwukrotnie, o północy. Nie mając miejsca na omawianie samej sztuki (opublikowanej w Gallimarda, w przekładzie Jadwigi Kukułczanki), recenzent „Lettres Francaises” mówi o tym, co najbardziej go uderzyło w pracy samego zespołu Tadeusza Kantora, „popularnego we Francji jako malarza, lecz jeszcze nie znanego w dziedzinie inscenizacji”.

Otóż przede wszystkim odnosi się, zdaniem Oliviera, wrażenie, iż czegoś podobnego jeszcze nigdy się nie widziało. „Jest to wrażenie, powstające od samego początku, ale potęgujące się podczas całego spektaklu. Nie chodzi tu o sprawy zewnętrzne, np. grę aktorów, bezpośrednio zwracających się do publiczności i nie oczekujących od nich odpowiedzi itd. Recenzenta uderza przede wszystkim nagła konfrontacja ze światem nowym, ale od razu narzucającą swą całkowitą spójność i usprawiedliwiający się samostnie. Kantor proponuje „ideę teatru, realizującego się jako dzieło sztuki, znającego jedynie własne prawa, dzieła, które samo siebie uzasadnia”. Dla Kantora sztuka jest „otwarciem okien na to, co niemożliwe”. Rzeczywiście, wszystko jest, zdaniem Oliviera, niemyślane w tym spektaklu.

POLONICA

JAN HUSZCZA

Reportaż z Kuby

Autor*) spędził na Kubie ponad pięć miesięcy. To dość dużo. Przynajmniej w porównaniu z naszymi innymi reportażystami zagranicznymi, co zresztą nie jest ich wina. Dzięki temu otrzymaliśmy książkę, sondującą teraźniejszość i przeszłość kraju w sposób dość pogłębiony i dość wszechstronny. Zawdzięczamy to rzecz jasna nie tylko długości pobytu, ale zdolności obserwowania, umiejętności formułowania spostrzeżeń, zarysowywania sytuacji, wiedzy wreszcie, gdyż autor — o czym dowiadujemy się z relacji — jest z wykształcenia historykiem. Mieszka w Olsztynie, ma za sobą szereg prac, dotyczących przeszłości regionu.

Inna zaleta, to wtopienie informacji historycznej w sposób niezauważalny w tekst opowieści, która jest żywa, potoczna i często dowcipna. Jest w tej książce miejsce na dzieje rewolucji, jak i na dokładny opis podrywania pięknych Kubanek, na próbę ich charakterystyki. Mówiąc zaś poważnie, Wakar ma chyba rację, poświęcając stosunkowo dużo miejsca kobietom. Kto wie bowiem, czy w różnych krajach rewolucji i przeobrażeń o sukcesach lub niepowodzeniach społecznych nie świadczy właśnie sytuacja kobiet.

Miejscami uderza zwyczajność i celność. Aż trudno oprzeć się pokusie przytoczenia dwóch przynajmniej przykładów.

O roku 1939: „Odłożyliśmy Należnie, zabrałmy się do lektury Czasów pogardy”. Idzie tu o książki Andre Malraux.

O turystach amerykańskich z okresu dyktatury sierzanta Batisty: „Potrzeby kulturalne tych turystów zaspokajały lunaparki i lupanary.”

Najlepiej wraz z autorem poznamy Hawanę. Cóż, na Kubie ludności miejskiej jest 60 proc., większej zaś 40 proc.

Oczywiście, wędrowka po Kubie niemal na każdym kroku zaskakuje egzotyką, odmiennością. Autor prostu wiele błędnych informacji

o tym kraju, przywożonych przez przypadkowych turystów. Co krok to rewelacja. Oto: „Na Kubie nie ma chuligaństwa, nie ma złodziejstwa. Jedyny w czasie mego pobytu w Hawanie wypadek okradzenia niezamieszkanego domu był szeroko komentowany w całym mieście...”

Czytelnikowi znad Wisły nie bardzo chce się w coś takiego wierzyć, ale... Opisując teraźniejszość i przeszłość, autor nie ułatwia sobie zadania. Wprost przeciwnie. Stwierdza: „Rewolucja socjalistyczna jest tu wciąż rzeczą świeżą. Spod dość cienkiej powłoki, jaką nałożyła ona na stosunki społeczne Kuby, łatwo odkryć to, co było tu dawniej...”

A więc autor budzi zaufanie. Znajdujemy w książce, przecież niezbyt obszernej, duże ustępy, poświęcone Polakom — tym z przeszłości i tym, z teraźniejszości. „Z dumą” dowiadujemy się, że w walkach o wolność Kuby przeciwko Hiszpanom odegrał poważną rolę nasz rodak, generał Roloff Miałowski... itd.

Miłośników Hemingwaya — a jest ich u nas wielu, mimo wybredania krytyków — zaciekawo rozdział o domu wielkiego pisarza amerykańskiego.

Bogata, inteligentna i z werwą napisana książka. Zaskakuje więc ostatni jej akapit — cytankowy, ale to zaledwie kilkanaście linijek.

Ps. Z niejakim zdumieniem przeczytałem następujące zdanie o kubańskich kierowcach: „Nie ma nawet zakazu używania klaksonów w mieście”. A u nas jest? W Łodzi klaksonują wszyscy. Dla samej radości klaksonowania. W dzień i w nocy.

J. H.
*) Andrzej Wakar: Wędrując przez Kubę. Wyd. Łódzkie 1971.



Przeszłość i teraźniejszość

Sięgnąłem po książkę pani Alicji Okońskiej nie dlatego, bym szczególnie lubił monografię o wybitnych twórcach, ani dlatego, bym był admiratorem Wyspiańskiego. Nic z tych rzeczy: po prostu tropiąc ślady historycznego myślenia Polaków dawno zdałem sobie sprawę, że jest zawodową megalomanią mniemać, że znajdziesz je przede wszystkim u profesjonalnych dziejopisów, a w szczególności u katedralnych profesorów. Różnie bowiem bywało, a wielkie historyczne koncepcje rozdziły się najczęściej w głowach ludzi, którzy umieli lepiej i bardziej nowoczesnie myśleć, niekoniecznie będąc historykami. Czasem byli to i oni, ale często byli to politycy, u nas zaś bodaj najczęściej wybitni pisarze. Co więcej, literatura piękna o treści historycznej, w którą tak bogate jest nasze piśmiennictwo, w największym stopniu oddziaływała na ukształtowanie historycznej świadomości

ci społeczeństwa. Przed Mickiewiczem były przecież „Śpiewy historyczne” Niemcewicza, wreszcie Sienkiewicz, Żeromski... Śledzenie tych nie zawsze bezpiecznych związków literatury pięknej i historiografii jest niezmiernie fascynujące. W dziedzinie tej zrobiono dotąd bardzo niewiele, a jeśli dziś coś się zmienia, to niezmiernie powoli. Wina jest obustronna: specjalści od historii literatury zazwyczaj mają bardzo mgliste pojęcie o dziejach historiografii, badacze tej ostatniej — a jest ich nierównie mniej — mają ich niewiele kłopotów z porządkowaniem materii własnego przedmiotu, aby zaglądać na podwórko sąsiada, w dodatku tak gęsto obsadzone tzw. „literaturą przedmiotu”. Ponadto jest jeszcze owa literatura, którą trzeba... znać.

Ze takie naukowe małżeństwa historiograficzne — historyczno — literackie (proszę wybaczyć straszliwy termin!) są niekiedy wcale u-

dane, świadczy ogłoszona przed kilkoma laty niewielka rozprawka Stanisława Zabełrowskiego o wpływie, jaki wywarł Szymon Askenazy i jego szkoła na historyczną koncepcję legionów Dąbrowskiego, przedstawioną w „Pamiętnikach” Żeromskiego. Myślałem tedy, biorąc do ręki książkę p. Okońskiej „Stan-

isław Wyspiański” (Wiedza Powszechna, 1971), że znajduję w niej pogłębioną próbę wyjaśnienia relacji między historyczną dramaturgią Wyspiańskiego a myślą historyczną jego czasów. Zależność, i to wzajemna, jest tu oczywista, bowiem pisarz nie tworzył w próżni, należał do twórców o dużej kulturze historycznej, a w dziełach swych podejmował problemy podówczas szczególnie dyskutowane.

Ale się zawiodłem. Zawiodłem się na wiedzy autorki w sprawach ściśle historycznych. Darowałbym jej już błędy w imieniu wielkiego sławisty Baudouin de Courtenay (Jan mu było, nie Piotr!), w nazwisku wybitnego historyka Tadeusza Wojciechowskiego (nie przez „y”) i wiele podobnych, ale przecież nie wie myślowym”, o aprobowaniu „w zasadzie” Bobrzyńskiego, by zaraz sobie zaprzeczyć (aby to dostrzec, trzeba jednak znać poglądy tego historyka) powiadając, że Wyspiański widział dzieje Polski jako... obrazy jej wielkości i potęgi. Widocznie jednak autorka wyczuwa, że z tymi relacjami z historiografią coś jest nie tak. Także pod względem chronologicznym, gdyż szkoła krakowska jest znacznie wcześniejsza od... Wyspiańskiego. Więc stwierdza dalej, że jej teorie kontynuowali po śmierci Szujskiego inni historycy, wśród nich zaś T. Wojciechowski (!) i K. Potański (!!), i że ich poglądy wywarły wpływ na Wyspiańskiego „w pierwszej fazie jego twórczości”, potem zaś uległ on wpływow „nowej szkoły warszawsko-lwowskiej”. Poprzestałmy na tym. W dziedzinie historii historiografii autorka ma bardzo niewiele do powiedzenia, a to co mówi, roi się od nieścisłości. Nie zdaje sobie sprawy z chronologii podstawowych zjawisk z tego zakresu a zwłaszcza z tego, że w latach 90-ych

WYSPIAŃSKI I HISTORIA

JÓZEF GRZELAK

„Comprendre“

Przed dwudziestu laty grono filozofów, pisarzy, prawników i pedagogów założyło w Wenecji międzynarodowe stowarzyszenie „Société Européenne de Culture” (S.E.C.). Duszą S.E.C. i jego sekretarzem generalnym został wenecki uczony, prof. Umberto Campagnolo. Czynną rolę grają w Stowarzyszeniu zarówno Francuzi (prof. Jean Lacroix, prof. Mayoux, Claude Aveline), jak przedstawiciele ZSRR (wiceprezesa międzynarodowym jest Borys Polewoj), Belgowie i Węgrzy (prof. Boldizar, dramaturg i filmowiec Miklos Hubay), Szwajcarzy i Anglicy, Czechosłowacy i Holendrzy, Jugosłowianie i Rumuni, Polacy i Włosi.

Słowo „kultura”, użyte w nazwie Stowarzyszenia, ma określone znaczenie. W myśl definicji, uzasadnianej przez prof. Campagnolo, „człowiek kultury” nie jest synonimem „intelektualisty”. Każdy wysiłek, podjęty we wszystkich ważnych dziedzinach współczesnego życia, a zmierzający do tworzenia nowych wartości, powiększa zasób ogólnoludzkiej kultury, skoro przez kulturę rozumiemy będziemy tworzenie. Jak widać, myśl prof. Campagnolo jest tu dość bliska konkluzji, które wysnuć można z zakończenia „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego. Kreatywna sztuka nie jest identyczna z działaniem praktycznym; stanowi jednak przykład uzasadniająca możliwość działania. Sprawa ta łączy się z pojmowaniem zakresu i dążeń filozofii współczesnej. Wedle prof. Campagnolo polega ona na koordynacji dwóch czynników: poznania i woli. Wola uzasadnia wytyczenie zadań, w danej chwili dla ludzkości najpilniejszych. Ze zrozumienia istoty tych problemów wynika określenie najbliższego celu wysiłków poznawczych.

W obecnej sytuacji, wedle opinii członków S.E.C. najważniejszą sprawą jest zagadnienie międzynarodowe, czyli zapewnienie pokoju. Skończyła się epoka preatomowa, zaczęła w dziejach świata era preatomowa. Lokalne wojny, choć prowadzone orężami „klasycznymi” stanowią tylko ośrodki „epicyentryczne” światowych wstrząsów. Pociągają za sobą poważne szkody ekonomiczne, kulturalne i cywilizacyjne. „Drewna” zasoby finansowe narodów, a także zapasy energii.

Jeden z ekonomistów francuskich w rozmowie z mężem stanu wskazywał na ogromne potrzeby w dziedzinie oświaty i kultury. „Jesteśmy zbyt biedni, by sobie móc na to pozwolić” — powiedział polityk. „Ależ właśnie dlatego jesteśmy biedni” — zawołał ekonomista — „że niedostateczną ilość środków poświęcamy na cele oświaty, wychowania i kultury. Niedocenień tych dziedzin powoduje zubożenie”.

Zdaniem prof. Jean Lacroix, współczesnego francuskiego filozofa, naczelne zasady gospodarczej działalności państw sterczących się dziś w trzech hasłach: „Żyć, Leczyć, Uczyć”. Nie kto inny, jak generał de Gaulle, podniósł, że drobna część środków budżetowych, przeznaczonych przez państwa współczesne na zbrojenie, mogłaby doprowadzić do poznania przyczyn raka. Chodzi bowiem o kreowanie na całym świecie licznych ośrodków badawczych, których wysiłki eksperymentalne mogłyby doprowadzić do wykrycia źródeł i zrozumienia sposobów leczenia nowotworów.

S.E.C. nie jest jednak organizacją, skupiającą utopijnych kwakrów-pacyfistów, marzących o zbawieniu ludzkości (choć i te marzenia mogą mieć znaczenie praktyczne). Uczni pisarzy, artyści pedagogów, filozofów, skupieni w tej instytucji — starają się poznać skomplikowaną sytuację świata, by wysnuć wnioski praktyczne. Służą mi się wydaje myśl Borysa Polewoja, wysunięta na ostatnim zebraniu Conseil Executif

S.E.C., by poświęcić osobną naradę sprawie europejskiego bezpieczeństwa.

S.E.C. publikuje, pod redakcją prof. Umberto Campagnolo, czasopismo „Comprendre”, poświęcone zagadnieniom „polityki kultury”. Ukazało się dotychczas 26 tomów (10 podwójnych). Każdy z nich został poświęcony określonej zagadnieniu, oświetlanemu przez znawców. Na przykład: numery „Comprendre” omawiały sprawy uniwersalności kultury, kultury wobec bomby atomowej i żelaznej kurtyny, kryzysowi sztuki, dialogowi jako lekarstwu na zagrożenie cywilizacji, polityce kultury, realności pojęcia Europy, nowym kontynentem, ZSRR, Imperium Brytyjskiemu, współczesnemu humanizmowi, chrześcijaństwu i jego stosunkowi do cywilizacji, Chinom, Indiom, wkroczeniu Afryki w historię, zagadnieniu międzynarodowemu, „zimnej wojnie”, religii i kulturze, koegzystencji pokojowej, ONZ, demokracji a kulturze oraz ruchowi młodzieżowemu. Każdy numer przynosi kilka reprodukcji dzieł światowej plastyki współczesnej. Z zadaniami i celami pisma korespondują eseje literackie oraz poematy (np. jednego z największych poetów współczesnych, S. A. Biora).

Najlepszą drogą porozumienia bywa — zrozumienie. Tytuł organu S.E.C. jest więc zarazem streszczeniem jego programu. To przesądza że człowiek pierwotny był bliżej prawdy, a cywilizacja stworzyła warunki, w których słowo stało się zaprzeczeniem myśli. Znalazono wśród wykopalisk z epoki Sumerów tabliczkę, na której nauczyciel w subtelny sposób wychwalał bezstronność — zachęcał zarazem rodziców do dawania łapówek, by poprawić pozycję wychowanków.

Ale nie tylko kłamstwo, także i powierzchowność oceny, niezajomość faktów i schematy, utrudniają porozumienie. Także i porozumienie generacji. Pożyteczną mi się wydaje wielka ankieta czasopisma „Comprendre”, określająca źródła współczesnego ruchu młodzieżowego na Zachodzie. Np. cenne wydają się fakty, przytoczone przez profesora Nelsona o roli młodzieży amerykańskiej w sprawie emancypacji Murzynów, Indian, Portorykańczyków i Meksykańczyków oraz przeciw marnotrawstwu powodowanemu przez wojnę. Równie znaczące są uwagi prof. Mayoux o paternalizmie i dyktandzie „rodziców” jako jednej z przyczyn gwałtownego wybuchu na Sorbonie i innych uczelniach francuskich.

Prof. Campagnolo, z uwagą przyglądając się ruchowi „kontestacyjnemu” na Zachodzie (i jego teoretykom), docenia jego znaczenie. Równocześnie zwraca jednak uwagę na negatywizm tego ruchu, na prymat destrukcji nad hasłami konstrukcyjnymi. „Kontestatorzy” chcą odwrócić bieg dziejów, przekreślić tradycję, rozpocząć „nową kartę”. Dążeniu do zysku i do zdobycia władzy dzisiejszego społeczeństwa „konsumpcyjnego” (stwarzającego sztuczne potrzeby, by nimi zaspokajać cele produkcji) przeciwstawiają świat oparty na ideach pokoju, równości, sprawiedliwości, swobody (także seksualnej), pokoju, piękna. „By zbudować dom mieszkalny trzeba najpierw zniszczyć więzienia” — mówią przedstawiciele tego ruchu. Zdaniem prof. Campagnolo — burzenie tego, co istnieje, bez uprzedniego przygotowania nowych domów skazałoby nas na bezdomność, czy cywilizacyjny regres, a więc — jeszcze gorsze więzienie. Campagnolo wysuwa hasło solidarności ludzkiej, jako założenia i punktu wyjścia.

S.E.C. broni dorobku kultury jako wartości. Prof. Lacroix w studium o demokracji i kulturze, zamieszczonym w „Comprendre”, przytacza prekursorskie słowa

Jana Ámosa Komensky’ego o postulatcie wychowania równego dla wszystkich: starych i młodych, mężczyzn i kobiet, ludzi różnych narodowości i stanów. Nie darmo myśli wielkiego pedagoga czeskiego, który działał i pisał w Lesznie Wielkopolskim (gdzie się znajdują po nim pamiątki w świetnie zorganizowanym Muzeum) są jednym z hasła pisma „Comprendre” i Société Européenne de Culture. Czesi stanowią istotnie przykład, jakie znaczenie ma dla rozwoju społeczeństw ów kompleks zagadnień, który nazywamy kulturą: nauka, wychowanie, sztuka, piśmiennictwo, twórczość ludowa, działalność gospodarza. Klęska pod Białą Górą nie stała się zagładą cywilizacji czeskiej (i słowackiej) dzięki ruchowi „budzieli”, tak entuzjastycznie witanemu przez Adama Mickiewicza.

Ale i nasze dzieje mogłyby służyć za ilustrację podobnych zjawisk. Po raz pierwszy: w dobie dzielnicowego rozbiecia. Po raz drugi — w wieku XIX (Louis Lemaitre,

francuski recenzent pierwszych tomików Słowackiego zwrócił uwagę, że kultura jest ratunkiem dla narodów ujarzmionych. Po raz trzeci stało się to w naszych dziejach, podczas ostatniej wojny, by tylko wspomnieć o szkolnictwie, uniwersytetach, literaturze i teatrach, działających w podziemiu. Problemy, dotyczące stosunku kultury do organizacji społecznej, jakże przenikliwie (i z jaką siłą) zanalizował Stefan Zeromski na przykładzie zwolenników teorii Edwarda Abramowskiego w „Przedwieściu”.

Ludzie różnych przekonań, wyznawcy różnych filozofii, spotykają się w S.E.C. Możliwość ich współpracy wynika m. in. z faktu, który na kongresie S.E.C. w Wenecji przed kilku laty przytaczał Jean Lacroix. Filozofie humanistyczne (w przeciwieństwie do faszyzmu) uważają za cel wspólny: walkę ze śmiercią, czyli zmniejszenie jej władzy. Nie tylko medycyna temu zadaniu służy, ale i sztuka, wychowanie, ekonomia.

KAROL BADZIAK

Na właściwy tor

Józef Wolniak — siedemdziesięcioletni nauczyciel ze Szczercowa to postać wyjątkowa, należy do zanikającej już formacji społeczników. Działając w pojedynkę, dokonał dla młodzieży pozabawionej rodziców więcej, niż niejedna instytucja opiekuńczo-wychowawcza. Ten szlachetny idealista wyszukuje bowiem osierocone dzieci i zastępuje im rodziców. Uczy je, wychowuje, kształci i pomaga materialnie aż do uzyskania pełnej samodzielności życiowej. Pomógł w ten sposób dziesiątkom młodych ludzi. Zresztą, mimo podeszłego wieku, wierny jest swemu posłannictwu.

Kiedy podczas okupacji przebywał w obozie koncentracyjnym poprzyścił sobie, że jeśli wyjdzie stamtąd cały i zdrow, resztę swego życia poświęci dzieciom pomordowanych rodziców. Słowa dotrzymuje. Z każdym rokiem jego „rodzina” powiększa się. Oczywiście kontakty z wychowankami coraz częściej odbywają się drogą listowną. Niemniej, w czasie świąt wielu go odwiedza. Są wśród nich ludzie dorośli, zajmujący dziś często poważne stanowiska, inżynierowie, nauczyciele, technicy.

Jednym z nich jest niewidomy Zdzisław K. Kilka lat temu Józef Wolniak dowiedział się z artykułu w prasie, o ciężkiej sytuacji tego chłopca. Natychmiast do niego pojechał, zaofiarował mu swą pomoc i zrobił wszystko, żeby Zdzisław K. dostał się na studia.

Wiesława B. poznał przypadkowo na Dworcu Fabrycznym w Łodzi. Nakłonił go do studiów i pomagał w trudniejszych sytuacjach życiowych przez wiele lat. Tadeusza P. poznał w szpitalu. Kiedy chłopiec zakończył przedłużającą się rekonwalescencję, szkoła, do której uczęszczał, skreśliła go z listy uczniów. I temu również Józef Wolniak pospieszył z pomocą. Przeniósł go ze szkoły w Siemianowicach do Łodzi, załatwił internet, pomógł dostać się do nowej szkoły.

Innym razem zjawila się u niego wdowa z synem, którego ojciec zginął podczas okupacji w obozie. „Niech się pan nim zaopiekuje” — powiedziała i zostawiła chłopca. Po

jakimś czasie chłopak zachorował ciężko na płuca. Leczenie było uciążliwe i długotrwałe. A oto fragment listu owej matki do opiekuna:

„Pan jeden zrozumiał, co musiało się dzieć w sercu matki, która całe swoje smutne życie poświęciła wyłącznie swoim dzieciom. I oto dziecko ukochane, w którym pokładałam wszystkie nadzieje, jest zagrożone straszną chorobą, a nawet śmiercią. Byłam tak zrozpaczona i zniechęcona do życia. Pan pierwszy przysłał mi tę radosną wiadomość, że będzie zdrow. Oby Bóg panu wynagrodził za tyle dobroci, gdyż ja nie jestem w stanie tego uczynić. W tym tygodniu miałam aż dwa listy od Henia. Ma pretensje do nas, że więcej ma listów od pana, jak z domu.

Jadąc po raz pierwszy z Heniem do pana, nie spodziewałam się, że przysporzymy panu tylu kłopotów. Bo nie tylko z synem, ale ze mną ma pan wąż zmartwienia, jak wysyłanie pieniędzy i wiele innych spraw”.

O szlachetności Józefa Wolniaka krąży legendy po okolicy. Niedawno zgłosił się do niego ojciec studenta z WAM. Student miał ciężki wypadek, potrzebował pomocy. Napisał do ojca, żeby ten zwrócił się do starego nauczyciela. „Jak mi pan Wolniak nie pomoże, to mi nikt nie pomoże” — przychodzi on z pomocą młodym ca.

Aktualnie Józef Wolniak opiekuje się bardzo zdolnym chłopcem ze szkoły w Wieluniu. Pragnę zaznaczyć, że przychodzi on z pomocą młodym ludziom tylko pod jednym warunkiem: muszą się uczyć. Co roku do albumu ze zdjęciami, który jest jedną z pięknych działalności stary nauczyciel wkłada nowe fotografie. Dedykacje na nich ceni sobie wyżej, niż wszelkie ordery.

„Unikalnemu przyjacielowi młodzieży, niosącemu bezinteresowną pomoc — odszukany wśród zaginionych”.

„Na pamiątkę panu Józefowi ten, któremu pan toruje drogę do Prawdy i Szczęścia, i uczy miłości do świata i ludzi”.

„Temu, co skierował mnie na właściwy tor życia”.



ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Tadeusz Chróścielewski — próba portretu

Tadeusz Chróścielewski — uprawia równolegle poezję i prozę, gatunki odrębne ze względu na formę przekazu,

ale zbliżone z racji podejmowanych tematów. Pisarstwo to jest silnie zakorzenione w tradycji mieszczańskiej, zabar-

wionej relikiami dawnej kultury szlacheckiej. Trudno nazwać to spletem dwóch tradycji, jeśli jedna wynikała z

drugiej na prostej zasadzie kształtowania się całych szeregów ubiegowiecznej inteligencji z kręgów ziemiańskich. Konieczne na tym miejscu jest przypomnienie, że istniały dość istotne różnice w sferze obyczajowości i mentalności między herbowym mieszczaństwem, a tym z pierwiastkiem na kartuszu. W środowisku tego pierwszego, jakkolwiek już w naszym stuleciu, rozgrywa się akcja „Rodziny Jednoróżców” (1961) oraz powieści o młodzieży szkolnej z lat 1858—1863, „Szkariatnej godzinie”. Poza tym silne związki z tą atmosferą kulturalno-obyczajową ujawnia osobowość bohatera „Szkółki dwóch dziewcząt” (1965), powieści, której akcja ulokowana jest w Łodzi po II wojnie światowej. Tak więc w okresie bez mała stu lat mieści się saga rodu mieszczańsko-szlacheckiego, rodu, z którego wywodzi się autor i jednocześnie bohater wielu

własnych utworów. Dociekania genealogiczne, wynikające nie z czystego snobizmu „dobudowywania sobie rodo-wodu” (żartobliwie o tym pisał w jednej z fraszek T. Gic-gier), lecz z pielęgnacji „kwiatu niezapominajki na dębie wieczności”, o czym zresztą pisze w zakończeniu „Elegii na dzień zaduszny w duchu exegimumentalistów ułożonej”. Jeden z odwiecznych celów literatury, jakim jest utrwalenie światła odchodzący, przyświeca piśmarstwu Chróścielewskiego. Zamierzenia to tym bardziej ambitne, jeśli weźmie się pod uwagę, że dzieło tego pisarza w miarę możliwości daje pełny obraz przeszłości określonego środowiska kulturalnego. Stąd też dąży Chróścielewski do maksymalnej konsekwencji, począwszy od wierności w odtwarzaniu tła historycznego, a skończywszy na stylizacji językowej, również historycznie

uzasadnionej. Te uczucia sympatii kierowane w stronę murów Klio manifestowane są bardzo dyskretnie. Jakkolwiek jest to zasadniczą pasją poety, to jednak poeta nie narzuca się z nią czytelnikowi, stwarzaając pozory wolności wyboru, a w gruncie rzeczy kasztelańskim gestem zaprasza w podwoje realnie nieistniejącego w teraźniejszości zamku, lecz wywołanego z przeszłości, nie tyle wiernie, ile kreatywnie. Rzeczelnosć wobec źródeł historycznych (zwłaszcza w „Szkariatnej godzinie”) nie przesłania wartości artystycznych; suwerenność tych elementów składowych utworów jest nie naruszona. Gruntowna znajomość historii jest dobrą szkołą dla wszystkich parających się literaturą. Uczy ona poczucia solidności, wyklucza ignorowanie jednych rzeczy kosztem drugich, w dużym stopniu kształtuje ethos pisarza.

Wkraczamy na teren spraw

ANDRZEJ GRUN

SĄSIEDZKIE WIZYTY

Gościłmy w Łodzi wystawę ne-
stora czeskiej grafiki, Oty Matouska
— fragmenty trzech obszernych cy-
kli: „Od Monachium do 9 maja
1945”, „Obóz koncentracyjny” i „Pej-
zaże południowych Czech”. Ekspo-
zycja zorganizowana została przy
współdziałaniu Ośrodka Kultury Cze-
chosłowackiej w Warszawie z okazji
50-lecia powstania KPCz. Trafnego
wyboru dokonano prezentując pra-
ce tego właśnie artysty. Ota Mato-
usek, twórca i działacz społeczny,
związany od najwcześniejszych lat
życia z ruchem związkowym (współ-
założyciel Stowarzyszenia Południo-
woczeskich Artystów Plastyków w
1925 roku, działacz Związku Czecho-
słowackich Artystów Plastyków,
członek zwyczajny Stowarzyszenia
Czeskich Artystów Grafików „Hol-
lar”) podejmował zawsze w grafice
i malarstwie tematykę aktualną,
przepełnioną treściami humanistycz-

ny, a po wojnie — tematykę
związaną z martyrologią człowieka
w latach terroru i pogardy. Treści
te wyrażał w formie komunikatyw-
nej i jednoznacznej, odwołując się
tym samym do najszerszych kręgów
odbiorców.

Łącząc nierozdzielnie twórczość
z działalnością społeczno-kulturalną,
sięgając do tematyki, którą w mo-
wie potocznej nazywamy „zaanga-
żowaną”, musiał Ota Matousek po-
zostać przy tradycyjnych sposobach
obrazowania, których pierwowzo-
rów formalnych i ideowych, szukać
trzeba w grafice niemieckiego eks-
presjonizmu i drzeworycie plebej-
skim. Pierwotory, oczywiście, zo-
stały przetworzone i zmodyfikowa-
ne. Indywidualność i wyobraźnia
plastyczna artysty nie pozwoliły na
bezwzględne kopiowanie i bezkry-
tyczne naśladowanie. Operując
dużymi, zdecydowanymi płaszczy-
znami czerni i bieli, z których bu-
duje anegdotę literacką, Matousek
unika starannie nadmiernych defor-
macji i przejawów. Unika prze-

nośń, alegorii i symbolizmu, na-
gminnie stosowanych przez twórców
z grup „Die Bruecke”, „Der Blaue
Reiter” i „Neue Sachlichkeit”. Po-
stępuje raczej jak kronikarz, który
miał opisywać czy fotografować —
rysuje bielą na czerni. Rysuje wy-
raźnie, dosadnie, bez upiększeń
i ornamentów, często z dużą dozą
naiwności, ale naiwność ta jest
szczerą i nie sugeruje wcale umy-
ślnego prymitywizowania. Przeciwnie
— odczytać można z grafik Matou-
ska — uparte i konsekwentne dą-
żenie do prostoty i poszukiwanie
bezpośredniego kontaktu z odbiorcą.
Oczywiste pragnienie, aby być ro-
zumianym jednoznacznie i natych-
miast. Ta prostota środków i czy-
stość kompozycji wywodzi się w
prostej linii właśnie z drzeworytu
plebejskiego.

Ota Matousek urodził się w 1890
roku w Pilźnie — od 45 lat mieszka
na południu, w przesławnych Cze-
skich Budziejowicach, w pewnej
izolacji od centralnych ośrodków
kulturalnych. Zrósł się z ziemią,
pejzażem i folklorem czeskiego po-
łudnia, region ten stał się dla niego
źródłem inspiracji i siły. Tamtejsze
światło i powietrze, krajobraz i lu-
dzie — to elementy składowe jego
sztuki, z którymi styka się codzien-
nie, z którymi żył się i oswoił —
po prostu zrozumiał i pokochał,
włączając w swoje życie i swoją
twórczość.

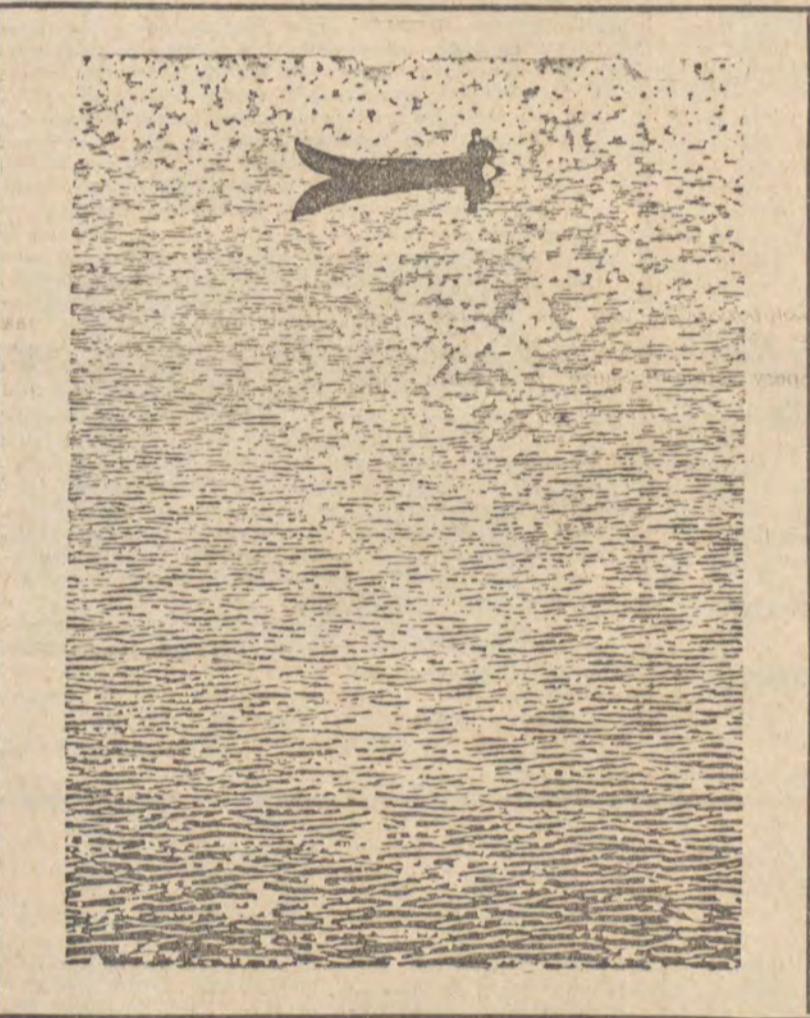
Jest twórcą „starej daty” — co
nie oznacza wcale, że jest gorszy
czy lepszy. Jest twórcą starej daty
i jego związki z ludźmi, pejzażem,
z naturą są o wiele silniejsze i głę-
bsze niż u artystów młodszych po-
koleń. W innych rejonach sztuka
jego szuka inspiracji.

Prostota, dążenie do syntezy, tak
wyraźne zwłaszcza w pejzażach, to
wynik koncentracji i bezpośredniego
obcowania z naturą. Uproszcze-
nia i uogólnienia plastyczne są
efektem wielokrotnych opracowań
tych samych tematów i motywów.
Są efektem dążenia do oddania
prawdziwej istoty krajobrazu lub
zdarzenia środkami celowo skrom-
nymi. W ten sposób można tworzyć
tylko gdzieś na uboczu, z dala od
hałasu i mody. Tak można two-
rzyć tylko tam, gdzie plaśnek w
klepsydrach przesypuje się wolniej
— w samej bliskości ziemi.

Twórczość Oty Matouska nie jest



Ota Matousek. Powstanie praskie. (Linoryt)



Poetyki, zarówno prozy jak
i poezji, które w przypadku
twórczości Chrościelewskiego
są tak koherentne, że nie
sposób znaleźć podobnego
przykładu we współczesnej
literaturze polskiej. Nie moż-
na tu zapomnieć o pracach
translatorskich poety, szcze-
gólnie z literatury rosyjskiej.
Zainteresowania ruscystyczne
poszerzają z jednej strony
światopogląd pisarza, z dru-
giej natomiast go uzasadnia-
ją. W jaki sposób? Wiąże się
to w pierwszym rzędzie z
konceptcją czasu — zderzenia
realiów teraźniejszości z ich
przeszłością. Nie bez powodu
więc tłumaczy Chrościelewski
wiersze Osipa Mandelstama,
poety przetrzucającego pomost
między światem kultury śród-
ziemnomorskiej a barbarzyń-
cami, między kulturą rosyj-
ską a kulturą antyczną. Refleksja
historiozoficzna Ler-
montowa czy Błoka (por. po-
emat „Scytowie”) jest szcze-
gólnie bliska piarstwu Chró-

ścielewskiego. Dialog „kultu-
ra — natura”, prowadzony od
dawna przez poetów, jest tu
szczególnie uwypuklony:

Czas i pieśń, i biało
Przemienione w kamień
Pod rydzami cerkwi,
Pod krzyżów skrzypami.
(„Pskowskie”)

Zderzenie elementów cywiliz-
acyjnych ze światem przy-
rody, ich poetycka koegzy-
stencja to jeszcze jeden, in-
ny sposób ujęcia wspomnianego
dialogu, który w tym
przykładu przekształca się
właściwie w pojednanie dzie-
ła człowieka z naturą. Jest
więc to rewolucyjna sche-
matów, uznanych na ogół za
odrębne, równoległe do sie-
bie istniejące. I jakkolwiek
Chrościelewski trzyma się
tradycyjnych reguł wersyfik-
acyjnych, to w sferze świa-
topoglądu poetyckiego jest w
opozycji wobec teorii klasy-

cyzmu, odrzucając koncepcję
nakładania się czasów i wie-
cznej niezmienności treści
przy pewnej ewolucji form.
„Jego aluzyjność — pisał kil-
ka lat temu Jan Huszcza —
wywodzi się z nowych warstw
pojęciowych, a wszystko jest
podparte swoistą wynalazczo-
ścią w zakresie słowa, często
bardzo starego i rzadkiego,
ale dopiero przez niego w
odkrywczy sposób przypom-
nianego i wykorzystanego”.

Na czym więc polega owa
wynalazczość w zakresie sło-
wa? W wierszach, a zwłasz-
cza w prozie spotykamy niez-
liczoną ilość słów, które
wyszły z użycia, a których
przypomnienie stwarza, prze-
nosi w klimat czasów minio-
nych. Włącza się do tego ironia,
która w dziele Chroście-
lewskiego pełni różnorakie
funkcje. Wyróżnić możemy
m. in. ironię poprzez archai-
zację języka (inkrustacja tek-
stu powiedzeniami łacińskimi i
staropolskimi) czy ironię z

pewną dozą żartobliwej do-
broduszości i to często w
odniesieniu do przeszłości,
mitów narodowych, jak to
dzieje się np. w wierszu
„Twardowski”:

Rankiem działał odeszły.
Cicho były w dół.
Niebo było bezradne jak
strzelećki rowy.
Na próżno wyglądano orłów
narodowych...
Ostatni wzblił się w błękity
i Wisłę zapalił...

I wtedy go widzieli —
natchniony polityk,
Szatnierz, pewien generał
w drodze na Pokucie —
Jak ze zgrozą w żrenicach
wzleciał na kogucie
I zadartym szabliskiem rwał
messerschmidty.

Z jednej strony poeta sym-
patyzuje z tym specyficznym
charakterem sarmackiej kul-
tury, z drugiej ironizuje, co
jeszcze wcale nie oznacza, że

kompletnie deprecjonuje jej
wartości. Po prostu dobrał
się tu do historii homo lu-
dens, który nie odmawiając
pewnym faktom, wydarze-
niom historycznym ich zna-
czeń narodowych, patriotycz-
nych, pozwala sobie na za-
bawy przyjemne i pożytecz-
ne. W poezji jego następuje
egalitaryzacja przedmiotów
poprzez ironię i humor; mo-
tywy regionalne splatają się
z tematami i wartościami
narodowymi i ogólnoludzkimi.

Na początku owego szkicu
postawiliśmy pytania dotyczące
sensu funkcjonowania tego
rodzaju modelu kultury
w obecnej rzeczywistości. O
uwarunkowaniach historycz-
nych i obyczajowych piar-
stwa Chrościelewskiego już
mówiliśmy. Pozostaje jeszcze
dać odpowiedź, z jakich po-
zycji patrzy autor „Najmil-
szych stron” na krąg kultu-
rowy, z którego się wywodzi
i czy jego światopogląd pi-

sarski jest integralną częścią
owej kultury. I tak, i nie.
Rzecz poniekąd sprowadza się
do paradoksu. Pisarz, wzię-
mi rodzinny i uczuciowy-
mi związany z klasą, która
już faktycznie nie istnieje, a
jedynie kultura przez nią wy-
tworzona w dalszym ciągu
egzystuje, widzi przeszłość w
demokratycznej perspektywie.
Charakter tej perspektywy
determinuje ironia. I dlatego
Chrościelewski, którego dzie-
ło osaczone jest przez historię
i korzeniami tkwiące przede
wszystkim w tradycji, nie jest
wcale ideologiem przeszłości.
Dokonał kreacji przeszłości,
że stała się naturalnym i po-
trzebnym składnikiem życia
duchowego współczesnego Po-
laka. Okazuje się więc, że pi-
sarstwo to, stwarzające zew-
nętrne pozory statyczności,
kryje w zanadrzu siły dyna-
miczne, kreatywne i stał przy
omawianiu jego możemy mó-
wić także o jego przyszłości-
wych szansach.

Czy taki być musi?

Hasło: „Nasz wiek XX”, które patroluje Międzynarodowemu Festiwalowi Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, wywołując ogromną polemikę, otwiera drogę na konkursowy ekran filmom o nieograniczonej

notą, dyskwalifikuje ona bowiem sens ideowy i artystyczny imprezy. Nie pomogą w tym wypadku ani nazwiska znakomitych jurorów, ani ciekawość ludzi, którzy na widowni zasiadają, nie pomogą też imprezy



„Spadkobiercy” prod. bułgarskiej

nemal tematyce. Było ich tego roku w Krakowie — 76, przysłano je z 27 krajów. Tyle filmów dopuszczono do Festiwalu, wybierając je z 271 zgłoszonych. Jeśli jednakże wierzyć reakcjom krakowskiej publiczności oraz własnemu, li tylko, zdrowemu rozsądkowi i odrobinnie gustu, prawie połowa pokazanych w Krakowie filmów nie powinna znaleźć się na ekranie kina „Kijów”. Zatem pytanie o rangę krakowskiego konkursu musiało towarzyszyć VIII Międzynarodowemu Festiwalowi, gniebło ono tym bardziej, że Festiwal Krajowy wzbudził w tym roku tak duże uznanie.

Trudno na podstawie filmów pokazywanych w Krakowie wyrokować, że jego poziom jest prostym wynikiem tego, co w świecie w krótkim metrażu powstaje. Trzeba brać poprawkę na to, iż Krakowski Festiwal jest jednym z kilku liczących się w świecie, że nie tylko najlepsze filmy mogą nań trafić, że realizatorzy wybierają sobie festiwale według własnego uznania. Można też uważać, że festiwal tego typu jest okazją do prezentacji wszystkich aktualnych tendencji światowego kina, nawet nie tych najciekawszych i w związku z tym może pokazywać także najbardziej dziwaczne poszukiwania twórców a więc nie musi być koniecznie imprezą grzeczną. Można wreszcie cenić idee Festiwalu, który otwiera swój ekran dla kinematografii młodych i niedoświadczonych. Wszystko to prawda, jednakże musi jej towarzyszyć również i inna — poziomu żadnego festiwalu nie może określać mier-

Festiwalowi towarzyszące i podpierające go swą atrakcyjnością (tak jak np. retrospektywa francuskiego krótkiego metrażu). Na Festiwalu liczą się przede wszystkim filmy dla szerokiej publiczności, one są miarą wartości i poziomu sztuki. Jeśli nie znajdują jej aprobaty, twórcom pozostaje jej wymiana grzeczności, a w istocie blaga i pozor.

W imię obrony ideału Krakowskiego Festiwalu, w trosce o jego wartość i rangę, trzeba zgłosić sprzeciw wobec gry pozorów. Nie przekonują nas argumenty panów bywających na innych tego typu międzynarodowych festiwalach, iż krakowska impreza nie odbiega poziomem od tamtych, że w Krakowie nagradza się istotnie filmy wartościowe. Wiadomo, że dla wielu twórców świata film krótki stał się formą „bardzo osobistej deklaracji i wypowiedzi, swobodną manifestacją — odejściem od skomercjalizowanego kina. Wiadomo jednocześnie, iż w czasach ogólnego kryzysu szans krótkiego filmu w kinowych sieciach rozpowszechniania — festiwalu są swobodną trybuną wypowiedzi i konfrontacji. Dlatego też zdziwienie budzić musi zestaw filmów, które w Krakowie pokazano. Gdzież te filmy z naszego obozu, które byłyby prawdziwym świadectwem tego, co w jego rzeczywistości ważne, gdzież te filmy z Zachodu, które byłyby echem spraw, o których słyszymy, a które mało znamy, gdzie wreszcie twórcze, artystyczne poszukiwania w zakresie filmu krótkiego metrażu. Jeśli to, co w Krakowie na-

VIII Międzynarodowemu Festiwalowi pokazano jest w istocie reprezentatywne dla tego, co w świecie się robi, to imprezę należałoby czym prędzej zlikwidować. Miernoty pielęgnować i hołubić nie można. W owym „jesli” kryje się jednak cała wątpliwość sensowności tego stwierdzenia. Krakowska impreza winna istnieć, nie może jednak egzystować dla kilku filmów wartościowych. Wiadomo też, że samych arcydzieł prezentować nie można, że margines na przeciętność musi w niej istnieć, poniżej jednak schodzić już nie można. Dlatego też mniemam, że komisja selekcyjna wykazała zbyt wielką, niczym nie usprawiedliwioną tolerancję. Przyczyn niskiego poziomu wielu pokazanych na Festiwalu filmów szukać jednak należy głównie w etapie wstępnych przygotowań repertuaru.

Organizatorzy Krakowskiego Festiwalu nie wykazują chyba zbyt wielkiej aktywności penetracyjnej, zbyt mało troszczą się o poziom poszczególnych zestawów narodowych. Tam, gdzie można się o nie starać, wykazują zbyt wielką liberalność wobec zgłoszeń indywidualnych. Tworzą w ten sposób nieprawdziwą panoramę światowej produkcji filmowej. Nie wystarczy Festiwal najlepiej zorganizować, trzeba dbać o to, co na nim najwłaściwie — o filmy. Przekonuje się nas, że Krakowski Festiwal nie jest imprezą poszerzoną, przekonują o tym należy również realizatorów i dystrybutorów w świecie. Nie trzeba nas natomiast przekonywać, iż Festiwal ten jest w swych zamierzeniach imprezą poważną i nie naradza miernoty (potwierdził to na zasadzie kontrastu pokaz filmów nagrodzonych w ostatnich latach w Oberhausen), że jest imprezą szlachetną w swej idei. Dlatego też wyraża żalu za tegoroczny jego poziom są wyrazem troski o to, by imprezy tej nie deprecjonować, nie czynić z niej wyłącznie okazję dla spotkań ludzi, dla których film krótki jest pracą i chlebem codziennym. W naszych warunkach festiwal tego typu winien posiadać szerszy społecznie sens.

W przeciwnieństwie do werdyktu jury Festiwalu Krajowego, który wzbudził tak silne kontrowersje, werdykt jury VIII Międzynarodowego przyjęto z pełną aprobatą. Nagrodzono istotnie te filmy, które warte były tych nagród. Grand Prix — Złotego Smoka przyznano ex aequo fil-

mom: „CICHY BUNT” Ch. Dentona i „SZKOLE PODSTAWOWEJ” T. Zygady. Sukces tego ostatniego filmu (przedstawiającego wojnę w Wietnamie — ukazywał go od strony walczących. Młodzi żołnierze amerykańscy w świetnym filmie reportażu — ankiecie mówią nie tylko o tym, że nie chcą zabijać, nie chcą umierać. Film odsłania cały bezsens i piekielny ból wojny, mimo iż nie pokazuje ani jednej bitwy, ani jednej potyczki. Nagrody dla obu filmów były świadectwem tego, co w Krakowie ceni się najwyżej.

W Krakowie zawsze ceniono wyżej humanistyczny, mądry i szlachetny ton pokazywanych filmów, aniżeli awangardowe poszukiwania formalne, choćby nawet stały one najwyżej na światowej giełdzie. Nagroda specjalna — Złoty Smok — przypadła w tym roku radzieckiemu filmowi „KINO”, reż. W. Erwajsa. Była to nagroda znamienita dla filmu, którego tematem nadrzędnym jest ogólnoludzka wartość i funkcja sztuki. Wśród nagrodzonych Srebrnymi Smokami filmów znalazł się animowany film „KOCHAJMY KWIATY” B. Dornikowica — piękna, metaforyczna przypowieść o ludziach, którzy sami niszczą swój świat, swe miejsce na ziemi. Filmy animowane były w Krakowie zestawem znakomitym i imponującym nie tylko różnorodnością plastyczną i animacyjną, ale również nośnością ideową. Spośród nich wyróżniono jeszcze bułgarskich „SPADKOBIERCÓW” B. Wesselinowa. Gdyby filmom animowanym dorównywały filmy dokumentalne, mielibyśmy do czynienia z Festiwalem filmów wybitnych. Nagroda Srebrnego Smoka i FIPRESCI dla wenezuelskiego filmu „POD MUREM” M. Mitrogliego była wyrazem uznania nie tylko dla ważkiej i mocnej wymowy ideowej tego filmu, ale również jego świetnej anegdoty, wcielonej w formę okrutnej groteski. Podkreślić również należy bardzo interesujący zestaw filmów jugosłowiańskich, wśród których oprócz „Kochajmy kwiaty” na uwagę zasługuje przepiękny film „SMIERC WIESNIAKA DJURICIA” P. Golubovića, oby taką reprezentacją przysyłali i inne kraje.



„Defilada” — prod. węgierskiej

Na naszych ekranach pękła w ostatnich miesiącach bania z adaptacjami literatury amerykańskiej. Dwa razy gościł w programie Teodor Dreiser, raz Eugene O'Neill dwa razy Erskine Caldwell. W marcu wystawiono adaptację „Poletka Pana Boga” tego ostatniego, a obecnie innej jego powieści — „Sługi Bożego”.

O „Poletku Pana Boga” pisałem w T-O bez entuzjazmu. Reżyserowi tamtego spektaklu udało się stworzyć jedynie ciąg ilustracji do powieści Caldwell, powtórzyć w uproszczeniu jej fabułę. Nie potrafił natomiast przekazać swojego i bardzo charakterystycznego klimatu pisarstwa Caldwell. Zarzutom tym obciążać należy także wykonawców głównych ról w tamtym spektaklu.

Adaptacja „Sługi Bożego” nadana została pod tytułem „Przyjście taki pod sam dom i...” W zakresie wyboru tekstu przygotowała ją Krystyna Nastulańska, reżyseria spoczywała w rękach Gustawa Holoubka. Tym razem miłośnicy powieści Caldwell nie doznali zawodu.

Nie zajmę się dzisiaj omówieniem relacji zachodzących między pierwotnym dziełem literackim i jego wersją ekranową. Rzadko bowiem na ekranie telewizyjnym oglądać możemy widowisko w tym stopniu wyzwolone ze służebnych funkcji w stosunku do tekstu literackiego. Spektakl przygotowany przez Holoubka nie rozwijał się bowiem postępując tropem powieści, lecz traktował tekst powieściowy jako odskocznik do wypowiedzi środkami właściwymi językowi obrazów.

Konwencja, w jakiej reżyser zrealizował widowisko, nie sprawdziła się na scenie teatralnej. Skuteczne operowanie zbliżeniami i dynamicznym montażem decydowało o kształcie przekazu. Holoubek wywołał się tu więc nie tylko spod przemożnego wpływu literatury, ale i spod wpływu teatru w jego klasycznej formie. A dotychczasowe prace reżyserskie Holoubka w telewizji cechował brak umiejętności (lub chęci) zerwania z teatralnością.

Może jednak dość głośnych sądów! Przystąpmy do udowodnienia naszej tezy na konkretnym materiale spektaklu poniedziałkowego (TV Warszawa, 7.VI.71, reż. telew. — Joanna Wiśniewska). Ograniczę się zresztą do omówienia tylko dwóch scen. Tych właśnie, z powodu których przedstawienie adresowane było tylko do widzów dorosłych.

Bohaterowie Caldwell opowani są objęszą zmysłów. Seks stanowi dla nich mroczną siłę, której nie potrafią się oprzeć, nawet jeśli prowadzą ich do samouciestwienia. Podają się więc swym popędem natychmiast, bez hamulców, nie licząc się z nikim i z niczym. Przejają przy tym funkcjonować więzy rodzinne, wzgląd na opinię i obyczaje.

Dla uwierzytelnienia tej atmosfery panującej u Caldwell sęgnął Holoubek po środki pozawerbalne. Tekst dialogu poszerzył o warstwę obrazową, wybiegając poza granice wyznaczone przez oryginał literacki. Swoista powieść, w której młoda (pletnastoletnia) mężatka spowodowana przez kądzię wyznaje gwałt, jakiego dopuściła się na Murzynie, rozegrana została przez reżysera jak przezprzysta akt do aktu picioowego.

Grająca tę rolę Stanisława Celińska w specyficzny sposób przyspiesza tym opowiadania, akcentuje brzmieniem głosu i ruchami ciała wstające podniecenie piciowe, wreszcie kończy okrzykiem, jakby znów przeżywała chwilę orgazmu. I druga scena, najwspanialsza w całym spektaklu, rozgrywająca się podczas kąpieli w budynku szkolnym. Kądziela (do odnotowania znakomita kreacja aktorska Gustawa Holoubka), nawołując pozornie do zerwania z grzechem i przepędzenia szatan, doprowadza farmerów do orgastycznego wyładowania żąd seksualnych. Szaleńcy taniec, w którym słowa wypowiedziane przestają się liczyć, nabiera wymiaru sensu psychoanalizy.

Holoubek zaprezentował nam spektakl z pewnością niezmiernie śmiały i drastyczny w odsłanianiu rozpalonej do granic wytrzymałości gry zmysłów. Znalazł jednak z pewnością taki klucz, który pozwolił mu stworzyć warstwę obrazową współbrzmiającą z pisarstwem Caldwell.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Listy DO REDAKCJI

PANIE REDAKTORZE!

Chodzi o plan zabudowy Łowicza przez Łowicką Spółdzielnię Mieszkaniową tzw. „Centrum” przy zbiegu ulic Wodociągowej i Alei Sienkiewicza. Tworzenie takiego „Centrum”, to pomysł nieudany, gdyż:

1. właściwe centrum Łowicza — to oba rynki z łączącą je ulicą Bieruta (Zduńska); tu zatrzymują się turyści, tu są zabytkowe domy, dawny ratusz, muzeum, kolegiata, kanońskie;

2. ograniczeniem budowy „Centrum” będą mokre łąki o podłożu torfiastym. Nie chcą tu rosnąć nawet pospolite wierzby i brzozy, więc osiedle będzie pozbawione wentylacji dla płuc mieszkańców, co w przy-

szłości będzie wpływać ujemnie na ich zdrowie;

3. aby zrealizować ten plan, trzeba będzie wysiedlić wielu mieszkańców, zabrać im dorobek całego pracowitego życia, oderwać od domów, do których się przywiązali;

4. na terenach tych jest wiele zielonych, pięknych, starych drzew, które muszą ulec likwidacji dla wygody przedsiębiorstwa budowy, jest wspaniała, dobrze uprawiona ziemia, która daje plony. Czy słusznosc miał powiatowy mocodawca i wojewódzki architekt, gdy zawyrokowali, że z powierzchni ziemi muszą zniknąć sady, ogrody warzywne i dworek podmiejski o historycznym znaczeniu, aby mogły tu stanąć nowoczesne bloki i pawilony handlowe?

HALINA SŁAWIŃSKA

PANIE REDAKTORZE!

Z dużym zdziwieniem przeczytałem w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN (w tomie XI — wydany w 1968 r. na str. 66, w haśle poświęconym Strykowskiemu), iż nasz słynny kronikarz z XVI w. urodził

się w Strykowie, ale... w powiecie grójeckim (tj. woj. warszawskie).

Mała Encyklopedia Powszechna PWN z 1959 r. wymieniała jako miejsce urodzenia tego historyka i poety — Stryków w pow. brzezińskim (w haśle: Stryków), ale w wydaniu tejże encyklopedii z 1969 r. — nie ma na ten temat żadnej wzmianki, co ma też chyba swoista wymowa.

Sięgałem do różnych źródeł (encyklopedii, herbarzy itp.), ale nie wskazywały one na nic, co by świadczyło, iż Maciej Strykowski urodził się w pow. grójeckim. Wręcz przeciwnie, np. w bardzo cennym wydawnictwie Ossolineum, które ukazało się w 1967 r. „Miasta polskie w Tysiącleciu” znalazłem następującą wzmiankę o Strykowie, położonym w naszym województwie (cytuje): „Ze Strykowa pochodzili znani w XVI w. na polu piśmiennictwa: pierwszy drukarz polskiego pochodzenia, Łazarz Andryswicz, założyciel słynnej oficyny Łazarzowej w Krakowie oraz kronikarz Maciej Strykowski”. (koniec cytatu).

Na pewno ktoś kompetentny wyjaśni i uzasadni

te zagmatwaną czy zawiązaną sprawę — faktyczne miejsce urodzenia Macieja Strykowskiego.

Maciejowi Strykowskiemu — chyba się to w pełni należy. Jego główne dzieło, tj. Kronika, polska, litewska, żmudzka i wszystkiej Rusi — stała się przecież m. in. źródłem wiadomości i inspiracji dla naszych późniejszych wieszczów narodowych i innych pisarzy. Mgr TADEUSZ BITNER

ŁÓDŹ

★ DROGA REDAKCJO!

Nie jestem stałym czytelnikiem „Odgłosów”, ale przypadkowo dostał mi się w ręce numer z dnia 23. V. 71 r. Przeczytałem w nim artykuł pt. „Kocowa w pokoju 168”. Artykuł ten wstrząsnął mną do głębi. Byłem ogromnie zdziwiony decyzją Sądu Uczelnianego. Jak można było dać tak niską karę! Przecież te „panny studentki” to dorosłe kobiety, zdające sobie sprawę ze swych czynów. Czy kierownictwo tego domu studenckiego nie wie, co robią w pokojach ich podopieczni? Jak można było dopuścić do takiej historii? Osobiście uważam, że jeśli ludzie odpowiedzialni za dyscyplinę, nie są w stanie utrzymać jej

wśród studentów, to znaczy, że nie nadają się na stanowiska, które piastują. Ja też jestem mniej więcej w wieku tych studentek, obracam się między młodymi ludźmi, bardziej i mniej wykształconymi, a mimo to nie mogę zrozumieć zachowania tych studentek i postawy kierownictwa wobec nich. Pisze się wiele o chuligaństwie, o znaczeniu, ale to wszystko jest niczym, w porównaniu z tą historią. Czytając artykuł odnosi się wrażenie, że to recenzja z filmu amerykańskiego. Moim zdaniem powinno się jeszcze raz wyciągnąć sankcje karne, lecz już w Sądzie Cywilnym. Powinni ponieść karę wszyscy za ten stan rzeczy odpowiedzialni, również i kierownictwo, bo i ono, moim zdaniem, nie jest bez winy. Nikt nie zareagował na to, że mimo późnej godziny radio grało na cały regulator. Czyżby wszyscy mieli przytępiony słuch? Nikogo nie zaniepokoiło, komu jest tak wesoło? To wszystko trzeba jeszcze raz gruntownie rozpatrzyć od początku do końca. Bardzo proszę o umieszczenie mego listu na łamach Waszego pisma i poddanie go dyskusji, ku przestrodze innych. Myślę, że wielu ludzi myślących o tej historii podobnie jak ja. MAREK JAROŃSKI

SZANOWNNY PANIE REDAKTORZE!

W numerze 23 „Odgłosów” z dnia 6. VI. 1971 r. ukazała się recenzja mojej ostatniej książki pt. „Intruz”, napisana przez Pana Bolesława Dudzińskiego.

Pan Dudziński pisze: — „Intruz” jest trzecią z kolei książką w dorobku Edwarda Kopeczyńskiego, pisarza — łodzianina...” itd.

Nie negując w niczym praw Pana Dudzińskiego do takiej czy innego sądu o książce, mam chyba prawo zwrócić uwagę Szanownnego Recenzenta na konieczność rzetelnej informacji Czytelnika — „Intruz” jest moją siódmą książką, a nie trzecią. Oprócz pozycji, które Pan Dudziński wymienia nam w swoim dorobku pisarskim jeszcze takie książki jak: „Klusownik chodzi nocą”, „Ślady na śniegu”, „Egzamin iewiecki” i „Kaczki powracają wiosną” — książki, które bardzo sobie cenię.

W związku z powyższym uprzejmie proszę Pana Redaktora o sprostowanie na łamach „Odgłosów” tej nieścisłości — byłbym bardzo wdzięczny, gdyby tym sprostowaniem mogło być wydrukowanie niniejszego listu.

Łączę wyrazy poważania EDWARD KOPCZYŃSKI

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrepcje

ROGER SOMVILLE —
ARTYSTA, BOJOWNIK
I HUMANISTA

Pod takim tytułem L.
Akimowa omawia w 5-ty

leczną — pisze we wstę-
pie artykułu L. Akimowa.
Publiczność radziecka
mogła się zapoznać z
twórczością Somville'a po
raz pierwszy na Między-

plerw w Królewskiej Aka-
demii Sztuk Pięknych w
Brukseli, a następnie w
Państwowym Instytucie Ar-
chitektury i Sztuki Deko-
racyjnej.

W czasie długich lat pra-
cy artystycznej Somville
pozostawał kilkakrotnie
pod różnymi wpływami i
stylami twórczymi, zawsze
jednak był wierny sztuce
figuratywnej.

Od czasów młodzieńczych
do dziś jest pod silnym
urokiem malarstwa Goyi i
choć ze wszystkich panują-
cych prądów najbardziej
wywarł na niego wpływ
ekspresjonizm, Goya zawa-
sze pozostaje dla Somville'a
źródłem natchnień i poszu-



R. Somville — „Wietnam”

numerze „Iskusstwa” syl-
wetkę belgijskiego malarza
i rysownika.

„Sztuka Rogera Somvil-
le'a jest niewątpliwie jed-
nym z ważniejszych przeja-
wów postępowej współcze-
snej twórczości artystycz-
nej w Europie. Jego naz-
wisko i dzieła są stosun-
kowo dość znane. Istnieje
już o nim obfita literatura.
W swej ojczyźnie, Belgii,
zajmuje stanowisko dyrek-
tora Akademii Sztuk Pięk-
nych. Znany jest ponadto
jako działacz społeczny,
komunista, walczący o pokój
i sprawiedliwość spo-

narodowej Wystawie Sztuk
Plastycznych otwartej w
dniach Festiwalu Młodzieży
i Studentów w Moskwie.
Somville pokazał wtedy
trzy obrazy z których
„Błękitny górnik” został
zakupiony do leningradz-
kiego Ermitażu.

Wystawa dzieł Somville'a
w końcu 1970 roku w Mo-
skwie zwróciła uwagę du-
żą ekspresją artystyczną i
problematyką społeczną
obrazów i rysunków.

Młodość artysty przypa-
da na lata powojenne.
Somville, dziś czterdziesto-
siedmioletni, studiował naj-



R. Somville — Motocykliści



R. Somville — „Arlekin”

„UCIECZKA” ALBERTYNY
SARRAZIN BĘDZIE
FILMOWANA

Wielokrotnie na tym
miejscu pisaliśmy o nie-
zwykłym życiu utalentowa-
nej pisarki francuskiej Al-
bertyny Sarrazin i o jej
przedwczesnej śmierci wy-
nikłej — jak to stwierdził
sąd — z zaniedbania leka-
rzy podczas operacji w
szpitalu w lipcu 1967 roku.
Sarrazin zdażyła napisać
trzy powieści: „L'Astragale”,
„La Cavale” (Uciecz-
ka) i „Przejęcie”. Wszys-
kie trzy na podstawie wła-
snych przeżyć. „L'Astragale”
została wydana w pol-
skim tłumaczeniu pt.
„Skok”. Powieść ta została
w Francji sfilmowana.
Niestety filmowcy niezbyt
trafnie oddali nastrój i
klimat książki, niepotrzeb-
nie kładąc zbyt duży na-
ciśk na sceny erotyczne.

Obecnie Michel Mitrani
filmuje drugą książkę Sar-
razin „La Cavale” (Uciecz-
ka). W roli bohaterki
wystąpi Juliet Berto.

rackich są „wydumane” i
„sztuczne”?

Istotnie — prawdziwych
przyczyn hołubienia litera-
tury profesji można się
kuriozalnie domyślać. Ale ów
kuriozalny tom „Prób li-
terackich leśników i drze-
wiarzy” mógłby być tylko
zabawną książeczką, gdyby
nie fakt, że jest on wy-
razem określonych, zorga-
nizowanych działań, które
nie wspólnego nie mają
ani z literaturą ani z
upowszechnianiem lite-
ratury. Patronują tym
nie bardzo poważnym dzia-
łaniom bardzo poważne in-
stytucje — nie więc dzi-
wnego, że jak Polska długa
i szeroka powstają litera-
ckie stowarzyszenia wz-
ajemnej adoracji.

Jak wszyscy cierpiący na
kompleks niższości —
członkowie tego ruchu re-
agują niezwykle gwałto-
wnie na wszelkie próby
łagodnej nawet krytyki,
czy choćby tylko rozwa-
żania o celowości zawodo-
wych, czy wręcz powiato-
wych stowarzyszeń litera-
ckich.

Miałem kiedyś okazję
zestknąć się z gazetką li-
teracką wydawaną przez
Powiatowy Dom Kultury
w Radomsku. Po prostu
przesłano do redakcji oka-
zowy egzemplarz owego
pisma z prośbą o ocenę.

ZŁUDZENIA OPTYCZNE

„Pewnego razu człowiek
stwierdził ze zdumieniem,
że to co ujrzał na własne
oczy i to co sprawdził, gdziekolwiek
by się
poszło, w górę lub w dół,
zawsze doszłoby się do te-
go samego punktu wyj-
ścia, oto dziwny pałac
ze schodami, kolumnami,
komnatami, gdzie płaszczy-
zny można raz traktować
jako sufity, a innym ra-
zem jako podłogi, oto
twarz, którą raz widzimy
jako dziewczęcą a innym
razem jako staruchę.

Zatrzymajmy się przy
tym ostatnim przykładzie
bo powie on nam jeszcze
o dodatkowych prawach
złudzenia optycznego. Otóż
nasz umysł ma tu dwie
możliwości całkiem jedna-
kowe interpretowania na
rysunku twarzy — raz
jako młodej dziewczyny z
ozdobną czarną tasiemką
na szyi, drugi raz jako
starej kobiety, gdzie owa
czarna opaska staje się u-
stami staruchy. Warto wie-
dzieć, że patrząc na ten
rysunek każdy z nas naj-
częściej ujrzy twarz dzie-
węcą niż staręją kobietę.
Widać więc, że z dwóch
możliwości interpretacji
nasz umysł wybierze raczej
tę, która daje wrażenie
przyjemniejsze.

W dalszej części recenzji
autor wyciąga dość pesy-
mistyczne wnioski pytając
dramatycznie czy może
nasz ludzki mózg jest źle
zaprogramowany skoro tak
łatwo ulega złudzeniom.

My osobiście nie jeste-
my takimi pesymistami.
Wystawa zurychska jest z
pewnością interesująca u-
kazując najprzeróżniejsze
warianty złudzeń optycz-
nych od tych najprost-
szych, znanych z podręcz-
ników psychologii do bar-
dziej skomplikowanych.
Ale przecież nieraz szt-
ka korzystała i korzysta ze
złudzeń optycznych. Dzi-
siejszy op-art np. bazuje
na złudzeniach optycznych
nadając pozorny ruch ele-
mentom w istocie stałym.
Wykorzystując budo-
wę i właściwości ludzkiego
oka. Wielu malarzy stoso-

wało świadomie, nieraz dla
żartu, złudzenia optyczne
malując obrazy, które mo-
żna było interpretować
dwojście. Oto np. przedsta-
wiano schody, którymi
gdziekolwiek by się
poszło, w górę lub w dół,
zawsze doszłoby się do te-
go samego punktu wyj-
ścia, oto dziwny pałac
ze schodami, kolumnami,
komnatami, gdzie płaszczy-
zny można raz traktować
jako sufity, a innym ra-
zem jako podłogi, oto
twarz, którą raz widzimy
jako dziewczęcą a innym
razem jako staruchę.

Zatrzymajmy się przy
tym ostatnim przykładzie
bo powie on nam jeszcze
o dodatkowych prawach
złudzenia optycznego. Otóż
nasz umysł ma tu dwie
możliwości całkiem jedna-
kowe interpretowania na
rysunku twarzy — raz
jako młodej dziewczyny z
ozdobną czarną tasiemką
na szyi, drugi raz jako
starej kobiety, gdzie owa
czarna opaska staje się u-
stami staruchy. Warto wie-
dzieć, że patrząc na ten
rysunek każdy z nas naj-
częściej ujrzy twarz dzie-
węcą niż staręją kobietę.
Widać więc, że z dwóch
możliwości interpretacji
nasz umysł wybierze raczej
tę, która daje wrażenie
przyjemniejsze.



Twarz dziewczyny, czy starej kobiety?

Bez strachu

BRAK

Ja: Nie widziałem cię
od lat. Jak się miewasz?
On: Dobrze, że zapyta-
łeś, jak się miewasz, a
nie jak się masz.

Ja: Dlaczego dobrze?
On: Dlatego, że lubię
odpowiadać ściśle. A
miewam się raz dobrze,
raz źle, miewam się, że
tak powiem rozmawiam...

Ja: Co jednak przeważa
w tym twoim miewaniu:
dobro, czy zło?

On: Trudno mi na to od-
powiedzieć, bowiem jeżeli
sprawy mierzyć czasem,
to potrzebny jest tu czas
nie fizyczny, ale czas psy-
chologiczny.

Ja: Jakże to?

On: Ano tak, że kiedy
miewam się dobrze, to
moment dobra wydaje mi
się nieskończony, bezgra-
niczny. Nie potrafię wte-
dy uwierzyć, że bywały
kiedyś godziny złego mie-
wania, że takie godziny
kiedyś nadejdą i odwrotnie
— że miewanie wypełnia
mnie całkowicie, nie wie-
rzę wtedy w dobre mie-
wanie.

Ja: Czy dobre, lub złe
miewanie wypełnia cię cał-
kownie, czy nie ma in-
nych stanów?

On: Owszem, jest ocze-



kiwanie czegoś trzeciego.

Ja: Zatem nie oczekiwa-
nia dobrego lub złego
miewania?

On: Nie, jest to poczucie
nieokreślonego braku.

Ja: Po fазie owego mie-
wania przychodzi zapewne
miewanie dobre, lub złe.

On: Wcale nie. Owe poczucie
braku jest niemasyc-
one, nieskończone.

Ja: Wiesz przecie czegoś
ci brak.

On: Nie wiem — gdy-
bym to wiedział, wypeł-
niłbym ów brak — on jed-
nak z natury jest nie-
skończony. Pozostaje sobą.

Ja: A więc nieskończone
miewanie dobre, i nie-
skończone miewanie złe
i nieskończone poczucie
braku — wszystko nie-
skończone.

On: Tak jednak jest.
Wiele nieskończoności ży-
je i umiera we mnie.

Ja: Która z nich jest
najśliczniejsza?

On: Najśliczniejsza jest
poczucie braku.

Ja: Co wtedy robisz?

On: Beznadziejnie szu-
kam nasyceń. Chodzę do
kawiarni, witałam się po
ulicy. Niekiedy wydaje mi



się, że brak mi porcji o-
woców, lub główki salaty.
Jem wtedy owoce lub sa-
latę — poczucie braku
tętna.

Ja: Czy tak będzie zwa-
sze?

On: Tak będzie zawsze.
Starczyłaby jedna nieskoń-
czoność. Ja żyję w trzech
nieskończonościach.

BERNARD SZTAJNERT

NIEDZIELI
NIEDZIELI

HOBBYŚCI

LEŚNICY I DRZEWIARZE — CZEMU SŁUŻĄ PO-
DZIAŁY? — TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ ADORA-
CJI — ZASTĘPY ROZGORNYCH — HISTORIA
Z RADOMSKIM — CO JEST NAJWAŻNIEJSZE?

Być może marginesowy,
ale istotny problem za-
sygnalizowała majowa
„Twórczość” w felietonie
„Hobbyści”. Otóż chodzi
o literackich hobbyistów, o
tzw. „podziemie literackie”
i kuriozalne publikacje w
rodzaju „Prób literackich
leśników i drzewiarzy”.
Wiadomo, że ruch literacki
nie jest domeną tylko leś-
ników i drzewiarzy. Kluby
i pismenka literackie, alman-
achy i antologie powstają
w środowisku lekarzy
i nauczycieli... „W rezul-
tacie — pisze „Twórczość”
— powstaje zjawisko, które
można by określić jako
literaturę profesji. (...) Od
dawna niepokoi mnie myśl
— pisze publicysta warszaw-
skiego miesięcznika —
że tego rodzaju kluby (po-
mijam tu zapewne pozy-
teczną pracę popularyza-

torską) stają się w efek-
cie azylem literackich nie-
udaczników (...). Przyznam
się, że nie bardzo wiem,
czemu służy ten kurs na
literaturę profesji. Podob-
nie jak nigdy nie potrafię
zrozumieć, dlaczego pismo
o tak, na nasze warunki,
ogromnym nakładzie, jak
„Radar” uparło się, by
wśród swoich młodzieżo-
wych (a więc niezbyt kry-
tycznych) czytelników po-
pularyzować „poezję” na
granicy grafomanstwa (...).
Nie bardzo też wiem, cze-
mu służy to sztuczne po-
działy na literaturę „nau-
czyielską”, „lekarzką”
przeclawianą — jak
można się domyślać — li-
teraturze zawodowej. Udo-
wodnieniu, że może istnieć
literatura „amatorska” i
wobec tego postulat i
problemy środowisk lite-

OBLICZE ZBRODNIARZA

Mężczyzna zachowywał się dziwnie, siedząc przy moim biurku ciągle powtarzał: — Gdy umrę, musi pan znaleźć tego, kto mnie zamordował. — Czy ktoś panu grozi? — zapytałem. Skinął głową. — I pan nie wie, kto to jest? — Wiem bardzo dobrze. To jest były mąż mej żony. Poślubiłem Virnę, gdy rozwiodła się z Jimem Stuartem. I właśnie on chce mnie zamordować. — Dlatego, że pan mu zabrał żonę? — Uważa, iż próbowałem go zabić, gdy nie zgodził się na rozwód. Zaraz panu wyjaśnię. Pięć lat temu Jim Stuart jadąc autem do Blendonville miał wypadek, zerwały się hamulce. Oskarżył mnie, że je zepsułem. Policja przeprowadziła dochodzenie, lecz nie znalazła dowodu przeciwko mnie. To jednak nie zmieniło poglądu Jima. Przeleżał w szpitalu sześć miesięcy. Gdy wyszedł, zachowywał się tak, iż bez trudu udało się Virnie uzyskać rozwód. Potem poślubiła mnie. — Jeżeli pan jest przekonany, że Jim dwa razy usiłował pana zabić, to dlaczego nie idzie pan do policji? Trzeba wnieść skargę przeciw niemu. — A gdzie on jest? I jak wygląda? — Spojrzałem na klienta zdumiony. Zartował, czy zgłupiał? — Bo z Jimem jest tak, że istnieje i nie istnieje. Może znajduje się blisko, pracuje ze mną, lecz ja go nie widzę. — Panie Brenfort, ja nie mam czasu... — Spokojnie. Nie jestem wariatem i nie mówię o widmach. Podczas owego wypadku samochodowego zapaliła się benzyna i Jim wyszedł ze straszliwie poparzoną twarzą. Na szczęście był ubezpieczony i już po rozwodzie poddał się operacji w jednej z kalifornijskich klinik specjalizujących się w zabiegach plastycznych. Wyszedł stamtąd z inną twarzą. Wie pan jakie dziś cuda czynią w tych klinikach. Pacjent spaceruje z twarzą całkowicie przerobioną ludzkimi rękami. A najgorsze, że ja i moja żona nie znamy nowej twarzy Jima Stuarta. Może być teraz kimkolwiek: kelnerem, fryzjerem, policjantem. Wiemy tylko, że Jim jest tutaj, obserwuje nas, może uderzyć śmiertelnie w każdej chwili. A my go nie widzimy. — Panie Brenfort, przecież klinika kalifornijska ma obowiązki... — Nie ma żadnego obowiązku, tylko sąd może zmusić klinikę do wyjawienia tajemnicy nowej twarzy klienta. I jeszcze

jedno: oboje z żoną nie wiemy, gdzie Jim był operowany. Jestem już zmęczony, wiem że Stuart trafił mnie prędzej czy później. Jak mogę się bronić przed kimś, kogo nie znam? — Przyglądałem mu się bacznie. — Proszę mi powiedzieć, czy pan naprawdę usiłował zabić go w swoim czasie? — Tak — mogłem bez trudu zepsuć sterownicze części samochodu, gdyż pięć lat temu pracowałem jako mechanik w garażu, gdzie Stuart trzymał auto. Teraz zajmuję się sprzedażą aut używanych. Przeprowadziłem się tutaj myśląc, że nie usłyszą o nim. I tak było przez cztery lata. Lecz pięć miesięcy temu Stuart zadzwonił do nas. „Jestem Jim Stuart — powiedział do żony — twój były mąż, teraz z nową twarzą, nie do rozpoznania, mam zmienione nazwisko, niedługo zostaniesz wdową, przyrzekam ci!”

Dwa miesiące temu rozmawiałem także ze mną, bez wątpienia był to jego głos. Jeszcze wcześniej, spostrzegłem pewnego dnia, że przednie koło mego samochodu zostało rozluźnione. Gdybym zapuścił się na autostradę, co chciałem uczynić, skończyłoby się źle. Drugi zamach na moje życie powtórzył się wczoraj. O godzinie 18 przysyłał mi codziennie do pracy z baru naprzeciwko filiżankę kawy. Tylko cudem zauważyłem, że ktoś wysypał tam truciznę. Kelner nie wiedział jak to się stało. Ktoś go wezwał do telefonu i kelner zostawił filiżankę na ladzie. Po telefonie przyszedł do mnie. Nie przypominał sobie twarzy osób, które były wówczas w barze. Czy długo można tak żyć? — Panie Brenfort, zapewne Stuart znów zatelefonuje. Wydaje mi się, że nie chce pana zabić, tylko nastraszyć. Na pewno zacznie pana szantażować, zażąda pieniędzy. Jak tylko zadzwoni, proszę mi powiedzieć... — Udalem się do znajomego lekarza, aby porozmawiać o tej sprawie. Stwierdził, że tylko doświadczony specjalista mógłby rozpoznać człowieka o nowej twarzy. Lecz był pewien szczegół, który mógł mi ułatwić poszukiwania: należy znaleźć mężczyznę kompletnie pozbawionego zarostu.

Niektórzy przyklejają sobie sztuczną brodę, ale i tak reszta twarzy może ich zdradzić — stwierdził chirurg. — To była myśl! Przejść się od domu do domu i obejrzeć osoby, przybyłe w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy. Naturalnie, w dzielnicy, w której mieszkali Branfortowie. Najpierw zwiędzi-

łem pensjonaty, hoteliki, pokoje wynajmowane przez wdowy. Po tygodniu miałem notes pełen nazwisk osób, które skreśliłem z rzućwizy na nie okiem. Tyle pracy na próżno!

Pewnego wieczoru zadzwonił Brenfort: — Miał pan rację Stuart telefonował! Chce mieć dziesięć tysięcy dolarów w niedzielę. Powiedział, że to jest cena mego życia za dwa miesiące. — To znaczy, że za dwa miesiące zgłosi się po następne dziesięć tysięcy i za okres krótszy. — Co mam robić? — Proszę mi powiedzieć w jaki sposób ma pan dostarczyć pieniądze? — Jeszcze mi tego nie powiedział. Zadał abym je przygotował, zadzwonił za trzy dni i wskazał miejsce, gdzie należy je pozostawić.

A więc niech pan się postara o pieniądze, Stuart nie żartuje, wypadek mógł pomieścić mu w głowie i zdołny jest do zbrodni. — Zrobię, jak mi pan każe. Dwa dni później zapukałem do jego drzwi. Chciałem być przy tym, jak odezwał się telefon Stuarta. Poznałem także Virnę, kobietę, dla której można było oszaleć. Była przerażona, u progu kryzysu, nadużywała środków uspokajających. Telefon odezwał się wieczorem. Odpowiadał Brenfort, przyłapałem ucho do słuchawki. — Czy pieniądze przygotowane? — zapytał Stuart. — Tak, mam je. — Dobrze. Jutro wieczorem punktualnie o 23.45 zostaw pieniądze w kopercie za muszlą klozetową w barze „Show”. Czy wiesz, gdzie to jest? — Nie — odpowiedział Brenfort.

Lokal na 35 Avenue, każdy taksówkarz tam cię zawiezie. Zostaw kopertę i znikaj. Pamiętaj, jeżeli znajduję się na sali policjanci, zostaniesz zmiążdżony! Tym razem nie pomyliłem się. Położył słuchawkę. — Znam ten lokal — rzekłem. — Przyjdź tam jutro o 23. A pan postąpił tak, jak on kazał. Lokal zamykała o 24... — Zająłem stolik w głębi sali, obok jedynych drzwi, które prowadziły do ubikacji. Zgrab-

— Łałeczko — powiedziałem — Jakaś się — byłem bokserem, nie boję się. Dziękuję za radę.

Kwadrans przed północą, gdy wszyscy przygotowywali się do opuszczenia lokalu, zjawił się Brenfort. Wszedł do ubikacji i wyszedł stamtąd po minucie. Od tego momentu, kiwając się na boki, nie spuszczałem z oczu tych, którzy otwierali drzwi oznaczone dwoma zerami. Najpierw trzy typy z ogoloną brodą — na pewno — potem młodzieniec z brodką. I nikt więcej. Pięć minut przed 24 wszedłem do ubikacji, koperta była tam jeszcze, wszyscy klienci już wyszli. Wyszedłem i ja.

Coś tu nie grało. Lokal zamknięty, koperta w ubikacji. Czyżby Stuart miał ją zabrać w nocy? Nie, to mógłby zrobić tylko właściciel baru. Trzeba poczekać do rana.

Dokładnie o 7 rano byłem przy otwieraniu lokalu. Podszedłem do lady i poprosiłem kelnera o podwójną kawę. Gdy mi podawał zapytałem: — Wczoraj wieczorem zgubiłem spinkę w ubikacji, czy ktoś jej nie znalazł w czasie sprzątnięcia? — Jeszcze nie przyszedł do pracy, może pan sam zobaczy.

Nie potrzebna mi było powtarzać tego dwa razy. Za chwilę byłem w ubikacji. Koperta leżała. Wyszedłem natychmiast.

Niestety, nie ma spinki — zwróciłem się do kelnera. — Przykro mi bardzo. Powiem pani Donald, żeby mi ją przekazała, jeżeli znajdzie. — Kto to jest panna Donald? — Kobieta, która dziś tam sprząta.

Coś zaświtało w moim mózgu! „Kobieta”, do diabła, dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej! — Czy mogę poczekać na nią? — Gdy przyjdzie, proszę mi ją wskazać, ale żeby tego nie zauważyła.

Kelner nie rozumiał o co chodził. Dałem mu dwa dolary, skinał z uśmiechem. — Piłem dalej moją kawę, gdy nagle spostrzegłem, iż kelner daje mi znak oczami. Odwróciłem się. Panna Donald wchodziła do lokalu ze sprzętem.

Poczekalem kilka minut a potem wszedłem do ubikacji. Panna Donald froterowała podłogę



na kelnerka podała mi już dwa piwa i gdy zażądałem jeszcze whisky, uśmiechnęła się do mnie: — Chyba pan już dosyć pił? Przyszedł pan do nas pod dobrym gazem. Może pan o tym nie wie, lecz klienci, którzy nie mogą utrzymać się na nogach są wyrzucani na ulicę.

w dalszych pomieszczeniach i nie mogła mnie widzieć. Spojrzałem za muszlę: koperty nie było. Wróciłem na salę i czekałem. Za kilka minut wyszła panna Donald. Chwyciłem ją za ramię. Mocnym szarpnięciem wyrwała się i zapytała: — Czego

KOMUNIKAT

W ostatnim okresie Łódzki Ośrodek Telewizyjny otrzymuje wiele listów w sprawie zmiany planu wywoławczej Telewizji Łódzkiej. Podnoszone też ten temat na łamach łódzkich gazet i licznych konferencjach. Toteż wychodząc naprzeciw postulatowi opinii publicznej — Łódzki Ośrodek Telewizyjny ogłasza otwarty publiczny konkurs na pomysł lub projekt planu wywoławczej.

W konkursie mogą brać udział wszyscy telewidzowie z terenu Łodzi i województwa bez względu na ich zainteresowania profesjonalne.

Projekt planu wykonany techniką graficzną lub fotograficzną z napisem: Telewizja Łódź — powinien posiadać wymiary arkusza B-5, tj. 176 mm wysokości i 250 mm szerokości. Propozycje lub pomysły prosimy przysyłać na adres naszego Ośrodka: Telewizja Łódź, ul. Piotrkowska nr 153 do dnia 31 lipca br.

W sierpniu, złożone z wybitnych artystów jury, dokona wyboru najlepszych prac. Autorzy wyróżnionych projektów otrzymają cenne nagrody pieniężne lub rzeczowe. A zatem oczekujemy na Wasze — Drodzy Telewidzowie — propozycje.

ŁÓDZKI OŚRODEK TV

pan chce, do diabła? Kim pan jest?

— Jestem twoim wielbicielem. — Rece precz, świni! — krzyknęła. W zdenerwowaniu przestała mówić fałszem, głos jej był teraz silny, jak u mężczyzny. Chciała oddalić się, lecz chwyciłem ją w pasie. Kelnerzy przyglądali się, tego rodzaju sceny nie wywoływały zdziwienia, tylko że zwykle zdarzały się wieczorem.

— A wy co, czy wrosliście w ziemię, dlaczego mnie nie bronicie przed tym bydłakiem? — krzyknęła fałszem. — Scisnąłem ją silniej i zacząłem rozrywać jej bluzkę. Dla tych wszystkich byłem teraz na pewno maniakiem seksualnym, który o pół do ósmej rano z wściekłą gwałtownością obnaża piersi młodej kobiety. Broniła się, gryzła, przeczuła wszystko. Ostatnim szarpnięciem rozwarłem bluzkę i biustonosz.

Jeden z kelnerów zatelefonował już do policji.

A. S.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”

- ★ W. JAŹDŻYŃSKI — MOJE TRZY GROSZE
 - ★ J. HUSZCZA — NAJPIĘKNIEJSZY DZIEŃ
 - ★ Z. TARNOWSKA — LAWINA RUNĘŁA... NIE OD TATR
- oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna



Lewym okiem

PRZECIĄGANIE LINY

W pierwszych dniach czerwca każdego roku dzieciarnia ze spółdzielczych osiedli mieszkaniowych wyrusza na swoje święto do jednej z podlódzkich, lesistych miejscowości. Wyrąb trawa cały dzień, dzieci z krzykiem przeciągają linę, wciągają ją do drzewa, wyrażają się i grają w dwa ognie, panie wychowawczynie tymczasem podgrzewają serdelki i jodują podopiecznym skaleczoną kolana. Przedtem zaś mają setny ubaw z przewoźnikiem publicznym czyli przedsiębiorstwem państwowym PKP. Dzieci jest mnogo, więc panie zamawiają specjalny pociąg. Kolejarze lubią dzieci i z pociągiem nie byłoby kłopotu, gdyby chętnych było co najmniej pół tysiąca. Jeżeli pogłowie wynosi, na przykład, czterysta pięćdzie-

siąt, to i tak zapłacić trzeba za pięćset. Nic nie szkodzi, to się wciąż opłaca i organizatorzy nie wahają się ani chwili. — No, to prosimy imienną listę tych pięćset — powiada podejrzliwie pani z PKP.

Oczywiście, nie takie rzeczy już kiedyś widzieli i słyszeli. Siadamy i piszemy co tam komu w głowie zaświta nie zaglądając w żadne rejestry, bo po co?

Tadeuszek Kościuszko, Oleś Macedoński, Ewunia i Adaś Rajscy, Piotruś Przecinek, Jądzia Kropka, Jaś Tylko, Zosia Ponieważ — i tak dalej, do pięćset. Potem taką listę zanosimy do odnośnego biurka, gdzie nikt na nią nie rzuci okiem, a nie rzuciwszy pocznie wypełniać zbiorowy, pięćsetosobowy bilet.

No i dobrze. Potem jest już tylko pięćset biletów pojedynczych, do każdego wpisuje się odręcznie numer biletu zbiorowego, każdy się z osobna, odręcznie pieczętuje stemplem oraz — to już na innym biurku — datownikiem, po czym, po paru godzinach twórczej pracy, rzuca się wszystko do worka, uiszcza opłatę i sprawa załatwiona.

Załatwiona — to znaczy, że pociągu specjalnego i tak nie ma. Stoi zwyczajny pociąg, spóźniony zgodnie z rozkładem jazdy o ileś tam minut, zawiadowca przynagla spóźnionych podróżnych, trzyma wysoko chorągiewkę, a czterysta pięćdziesiąt dzieci plus dwa tuziny personelu biegną w tę i nazad, tłoczy się, przewraca, nie wierzy w coś takiego.

— Są specjalne wagony! — woła konduktor. — Gdzie? — W tyle. Nie w tyle. W przodzie. Właśnie, że w środku. Jakże specjalne? Tam harcerze, tu urzęd-

nicy w delegacji plus rodzina na wesele. Zawiadowcy omdlewa ręka, gwizd — wsiada ostatnia pani z workiem biletów — odjazd.

Powrót bardzo podobny, o tyle trudniejszy, że stacyjka w lesie malutka, maszynista się spieszy, a już ani wagonów specjalnych nie ma, ani nawet wiadomości o czymś takim. Pcha się każde gdzie może, trudno policzyć, grunt że bilety w porządku i że lista imienna spoczywa w archiwum, jako dowód i podkładka. Czego dowód? Nie wiem. Do czego podkładka? Też nie wiem.

Biletów po wypełnieniu i ostemplowaniu nikt nie liczył, nie ważył i nie sprawdzał. W tym samym worku wrócili do Łodzi i wypełniły jedną ze śmietniczek ulicznych. Może tam jeszcze są — to przecież dopiero miesiąc temu. Ale wobec komplikacji z pociągiem PKP znalazły się bardzo solidnie i elegancko: — Nie było pociągu, to fakt. Zwrocimy pieniądze, ma się rozumieć. U nas musi grać.

Zwrocą pieniądze i nikt nikomu nic nie będzie winien. Przyjemnie, jak się człowiek dowie o takim polubownym, bezkonfliktowym, uczciwym stawianiu sprawy. A pamiętacie Juwentur?

Mija właśnie trzy lata, kiedy poprosiłem o zwrot stu złotych, nadpłaconych niesłusznie. Sam Juwentur mnie o tej nadpłacie oświecił. Ale na prośbę nie odpowiedział, forsę nie zwrócił, na dwukrotne tu, z tego miejsca, zaczepki nie zareagował i spokój.

Doprawdy, lepiej mieć do czynienia z PKP. Zamawiajcie pociągi! Sto tysięcy nazwisk mam na zawołanie, same prawdziwe...

CWIEK